



LUCY GORDON



Magia miłości

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Po sześciu miesiącach Jane nadal doznawała przyjemnego uczucia dumy, widząc na drzwiach swojego gabinetu tabliczkę z napisem:

Jane Landers - dyrektor oddziału.

Co prawda, był to mniejszy z dwóch oddziałów Banku Kellsa istniejących w Wellhampton, a samo Wellhampton, choć dynamicznie się rozwijało, nie należało do wielkich metropolii - niemniej jednak dwudziestosześcioletnia Jane była najmłodszym dyrektorem oddziału Banku Kellsa, z perspektywami na dalszą karierę.

Wkroczyła do banku smukła, wyprostowana postać, o krótko obciętych jasnych włosach, ubrana w elegancki, szary kostium z białymi wyłogami kłap u marynarki. Dzisiaj ubrała się staranniej niż zwykle, ponieważ na popołudnie zapowiedziała zebranie całego zespołu. Nie miała złudzeń, że niektórzy z jej współpracowników woleliby widzieć na jej miejscu kogoś innego.

Po pierwsze, była kobietą, po wtóre, młodą kobietą, ponadto zaś miała niewybaczalny mankament: odznaczała się klasyczną urodą, choć może o nieco surowym wyrazie.

Z początku musiała wyrabiać sobie autorytet z chłodną stanowczością, która dla wielu była ogromnym szokiem. Teraz kłopotów miała coraz mniej, nadal jednak dbała o swój wizerunek - stanowczej, twardej szefowej. Jej tajemną broń stanowiła para okularów w czarnej, surowej oprawie. W rzeczywistości Jane miała sokoli wzrok i w oprawce znajdowały się zwykle szkła, ale okulary często pomagały jej zaakcentować swą nieustępliwość.

Gdy kroczyła po marmurowej posadzce do swego gabinetu, obrzuciła pobieżnym spojrzeniem czekających na nią interesantów. Pierwszy w kolejce był młody mężczyzna o nietuzinkowym wyglądzie. Miał na sobie czarne,

skórzane spodnie nabijane ćwiekami oraz czarny, obcisły podkoszulek, uwydatniający każdy mięsień muskularnej klatki piersiowej. Ciemne, pofalowane włosy opadały mu nisko na kark, a jednodniowy zarost podkreślał stanowczą linię ust. Jane wyobraziła go sobie w roli rewolwerowca, który przerzuca pannę przez siodło, po czym wywozi ją w niedostępne góry... albo jako pirata porywającego ją na swój galeon.

Potrząsnęła głową z irytacją. Skąd przyszedł jej do głowy tak absurdalne skojarzenia! Nie należała przecież do osób, które lubią fantazjować. W tym mężczyźnie jednak coś szczególnego przykuło jej uwagę... Z trudem powróciła do rzeczywistości.

Za młodym człowiekiem stał zażywny jegomość, John Bridge. Miał wyraźnie zniecierpliwioną minę i co chwila spoglądał na zegarek. Za nim zaś, ku rozpaczy Jane, siedziała pani Callam, wdowa w podeszłym wieku, żyjąca z procentów, których wartość z roku na rok malała. Pani Callam - kobieta z innej epoki - zupełnie nie potrafiła zarządzać pieniędzmi, ponieważ jednak była optymistką, ciągle wierzyła, że Jane wybawi ją z wszelkich kłopotów. Dziś sprawy wyglądały gorzej niż zwykle, ponieważ na widok Jane kobieta poderwała się z krzesła i wylała z siebie potok płaczliwych słów.

- Jest kolejka - warknął pan Bridge. - Nie znoszę ludzi, którzy nie przestrzegają porządku.

- Nie widzę tu nikogo, kto wpychałby się bez kolejki - zauważył spokojnie młody mężczyzna.

- Przecież ta kobieta najwyraźniej to zrobiła - burknął postawny jegomość.

- Nic podobnego - odparł ten przypominający pirata. - To ja stałem na początku kolejki i zaproponowałem tej damie, że zamienię się z nią miejscami. O tak, widzi pan. - Wstał i usiadł na krześle, które przed chwilą zwolniła pani

Callam. - Teraz ta pani jest na moim miejscu, ja na jej, pana zaś sytuacji to w niczym nie zmienia. - Uśmiechnął się uprzejmie do pani Callam.

- Och, bardzo panu dziękuję - odpowiedziała sędziwa dama, po czym bezceremonialnie chwyciła Jane za ramię i kontynuowała przerwany wątek: - Tak mi przykro, naprawdę nie chciałam przekroczyć limitu, ale gdy zobaczyłam karne odsetki... - Była prawie we łzach.

- Musimy nakładać kary w przypadku zakwestionowania płatności - odpowiedziała łagodnie Jane. - Ale ponieważ chodzi tu o naszą długoletnią klientkę... Harry, czy mógłbyś tu przyjść na chwilę? - Gdy młody człowiek z sympatycznym uśmiechem wyłonił się zza kontuaru, dodała: - Pani Callam przypadkowo przekroczyła stan konta. Odstąpimy od pobrania karnych odsetek. Bądź uprzejmy się tym zająć, Harry.

- Och, dziękuję. - Pani Callam podreptała za urzędnikiem.

W tym momencie Jane zauważyła, że mężczyzna o wyglądzie pirata przygląda jej się z zainteresowaniem. Słaby uśmiech błąkał się na jego ustach i niebywale rozjaśniał ciemnoniebieskie oczy. Jane uświadomiła sobie nagle, że pod wpływem przemożnego impulsu odwzajemniła ten uśmiech.

- Długo jeszcze będę tu czekał? - zirytował się pan Bridge.

- Proszę wejść - odparła chłodno Jane. - Chociaż, jak wyjaśniłam w liście, nic więcej nie możemy dla pana zrobić.

Przez następny kwadrans John Bridge przekonywał ją, by bank przedłużył mu termin płatności. Bez skutku. Zawiedziony zareagował wybuchem wściekłości.

- Napiszę w tej sprawie do pani zwierzchników! - pokrzykiwał na odchodnym.

- Zawsze może pan to uczynić - zgodziła się uprzejmie. - Do widzenia, panie Bridge. - Posłała piratowi lekki uśmiech. - Za chwilę pana poproszę.

- Nie ma pośpiechu - odparł uprzejmie.

Jane, zamykając drzwi, usłyszała jeszcze zgryźliwy komentarz pana Bridge'a:

- Niech się pan nie spodziewa, że uzyska coś od tej żelaznej damy!

- No cóż, nie zostałem obdarzony pańskim wdziękiem i dobrymi manierami - odpowiedział młody człowiek.

Jane uśmiechnęła się pod nosem. Cokolwiek by robił w tym miejscu, z pewnością ją rozweselał.

Nim zaprosiła go do środka, wykonała jeszcze jeden telefon.

- Z panem Grantem, proszę - powiedziała do słuchawki.

- To ty, Kenneth? Dostałam od ciebie wiadomość...

Kenneth Grant, z którym ostatnio się spotykała, był szacownym biznesmenem i prawdziwym filarem społeczeństwa - pod każdym względem odpowiednim mężczyzną dla najmłodszej dyrektorki oddziału Banku Kellsa.

- Chciałem tylko się upewnić, czy nadal jesteśmy umówieni na wieczór - powiedział ciepłym tonem. - Zarezerwowałem stolik w twojej ulubionej restauracji.

- Oczywiście, nie mogę się doczekać - potwierdziła.

- Przyjadę więc o siódmej.

- Będę gotowa.

- Wiem, wiem. To jedna z twoich wielkich zalet, kochanie. Nigdy nie muszę na ciebie czekać.

- Chyba żartujesz - zachichotała.

- Ależ nie! Przecież zawsze jesteś niezwykle punktualna.

- Tak, ale... - poddała się.

Lubiła Kennetha, ale czasami brakowało mu wycucia i jakież bywał niezręczny! Jakże mogło mu przyjść do głowy, że chwając punktualność kobiety, znajdzie drogę do jej serca!

Z ponurym uśmiechem odłożyła słuchawkę.

Otworzyła drzwi i poprosiła młodego mężczyznę.

- Był pan tak miły... - Pani Callam siedząca znów obok niego, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, skarbie - odpowiedział, uśmiechając się do niej promiennie i ujmując jej dłoń. Miał naprawdę olśniewający uśmiech: ciepły, pełen uroku, zniewalający rozmówcę.

Gdy znalazł się w gabinecie Jane, rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko biurka. W tym poważnym, statecznym wnętrzu wyglądał jakby nie na miejscu i to nie tylko z powodu ekscentrycznego ubioru, ale również zbyt swobodnego, niemal aroganckiego zachowania. Jane, dostrzegając w jego ciemnoniebieskich oczach jakieś buntownicze, gniewne błyski, skostatowała z dezaprobatą:

- Zachował się pan okropnie. Naprawdę okropnie...

- Słucham? Cóż takiego zrobiłem? - Popatrzył na nią niewiarygodnie niewinnymi oczami.

- Przed chwilą nazwał pan panią Callam „skarbem"! Przecież ona mogłaby być pańską babką i zasługuje na trochę szacunku!

- Czyżbym ją uraził? Naprawdę myśli pani, że poczuła się urażona?

Jane miała na końcu języka ostre słowa, ale poczucie sprawiedliwości przeważało. Pani Callam wcale nie była urażona... Przeciwnie, wyglądała na uradowaną,

- To chyba zależy od okoliczności - tłumaczył się cichym, spokojnym głosem. - Gdyby kto inny, gdzie indziej, zwrócił się do niej w ten sposób, być może poczułaby się obrażona...

Jane z niechęcią musiała mu przyznać rację. Wypowiedział to słowo z taką uprzejmością i szacunkiem, że trudno było się na niego pogniewać.

- Nie podobał mi się natomiast pani gburowaty przyjaciel - zauważył.

- To nie był mój przyjaciel! - obruszyła się Jane. - Należy do najbardziej nieprzyjemnych i agresywnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam - wyznała z zadziwiającą szczerością.

- Czyżby usiłował panią nastraszyć i mu się nie udało?

- Skoro nazwał mnie żelazną damą, niech pan sam wyciągnie wnioski.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, a wówczas jakby zajaśniał wewnętrznym światłem. Jane odniosła wrażenie, że całe wnętrze pojaśniało...

Miał niezwykłą, fascynującą twarz. Niezbyt regularne rysy nadawały jej interesujący, przykuwający uwagę wyraz. Wysokie czoło oraz wydatny nos mogły należeć do profesora, roześmiane oczy i ruchliwe usta przywodziły na myśl kłowna, zaś stanowczo zarysowany podbródek świadczył o uporze muła. Cały pełen był kontrastów i Jane, której życiem rządziła precyzja, poczuła nagle w sercu alarmujący dzwonek, ponieważ towarzystwo tego mężczyzny sprawiało jej przyjemność.

- Idę o zakład, że nie daje się pani łatwo zastraszyć - powiedział takim tonem, jakby chciał utwierdzić się we własnej opinii.

Musiała położyć temu kres i odzyskać kontrolę nad rozmową z tym dziwnym interesantem. Przybrała surowy wyraz twarzy i odezwała się chłodnym tonem:

- Ma pan rację, nie obawiam się zastraszenia, jak również nie daję się zwieść niczyjemu urokowi.

- Urokowi? - Patrzył na nią tak, jakby użyła słowa, z którym nigdy dotąd się nie zetknął. - Ma pani na myśli mój... urok? Oczywiście, to mi pochlebia, ale...

- Myślę, że już najwyższy czas, by przeszedł pan do celu swej wizyty - przerwała mu stanowczo.

- Chciałbym otrzymać dwa tysiące funtów.

- Wszyscy byśmy chcieli - odparła z pobłażliwym uśmiechem. - A teraz proszę poważnie... Czym mogę panu służyć?

- Przecież przed chwilą powiedziałem. Chcę uzyskać pożyczkę w wysokości dwóch tysięcy funtów. Dlaczego to panią dziwi? Chyba nie jestem pierwszym człowiekiem, który przychodzi tutaj z prośbą o pieniądze?

- To prawda, ale...

- Większość z nich nie wygląda jak zły demon z pantomimy - dokończył uprzejmie.

- W pewnym sensie ma pan rację.

- Nie obawia się pani osądzać ludzi po wyglądzie?

- Wcale tego nie robię.

- Dokładnie tak pani postępuje. Gdy wspomniałem o pożyczce, uznała to pani za kiepski żart. Dlaczego? Czyż nie z powodu mojego wyglądu?

Jane, lekko zmieszana, opuściła wzrok na kartkę papieru.

- Mogę poprosić o pańskie dane? Nazwisko...

- Gil Wakeham.

- Gil... Czy to skrót od Gilberta?

- Nie przepadam za tym imieniem. - Skrzywił się nieco. - Kojarzy mi się z kimś w koszuli z białym kołnierzykiem.

- Byłabym zaskoczona, gdyby Gil miał w ogóle jakąś koszulę - powiedziała sceptycznym tonem.

- Proszę więc sobie wyobrazić, że miałem koszulę - odparł z westchnieniem. - Raz.

- I co się z nią stało? - spytała mimochodem.

- W pralni samoobsługowej uprałem ją na niewłaściwym programie i wyszła w kolorach tęczy. Odtąd ubieram się na czarno. Tak jest bezpieczniej. Ale mogę kupić koszulę, jeśli pani na tym zależy.

- Nie sądzę, by to pomogło w pańskiej sprawie.

- Och! - westchnął lekko. - Mam chyba gdzieś krawat...

Jane przez krótką chwilę walczyła o zachowanie samokontroli, lecz wyraz zwodniczej niewinności w jego niebieskich oczach skutecznie ją rozbroił. Najpierw uśmiechnęła się lekko, a potem wybuchła perlistym śmiechem. Mężczyzna jej wtórował.

- A więc wygrałem! - powiedział uradowany.

- Cóż takiego pan wygrał?

- Założyłem się sam ze sobą, że rozśmieszę panią w ciągu pięciu minut.

Powinna pani częściej się śmiać... uśmiech pasuje do pani twarzy.

- Nic panu do tego - powiedziała urzędowym tonem, przywołując się wreszcie do porządku. - A jeśli chce pan mieć jakąkolwiek nadzieję na uzyskanie pożyczki, powinien pan zacząć zachowywać się stosownie, czyli przyzwoicie. - Jakiś złośliwy chochlik sprawił, że dodała impulsywnie: - O ile w ogóle pan to potrafi.

- Nie potrafię - odpowiedział natychmiast. - Ale może mnie pani oświecić. Jak zatem powinienem się zachowywać? Jak ten gość, który wyszedł stąd przed chwilą?

- Jak poważny, rozsądny człowiek - poradziła, lekko już poirytowana.

- Czy właśnie tacy mężczyźni się pani podobają? Poważni i rozsądni?

- Tacy dostają pożyczki.

Przyglądał jej się z głową przechyloną w bok.

- Pytałem, jacy mężczyźni podobają się pani? - powtórzył.

Odłożyła długopis i westchnęła.

- Panie Wakeham, jestem urzędnikiem bankowym i lubię mężczyzn, którzy nie marnują mojego czasu,

- Ciekaw jestem, z jakimi mężczyznami lubi pani jadać kolacje? - wtrącił tonem zadumy.

- Z takimi, którzy noszą krawat - odpowiedziała surowo, zła na swoją bezradność.

- Nie wątpię, że pani narzeczony nosi krawat.

- Nie zamierzam rozmawiać z panem na ten temat - rzuciła ostro.

- On z pewnością ma więcej niż jeden krawat - ciągnął Gil, ignorując wyraźnie widoczną na jej twarzy narastającą w niej złość. - W przeciwieństwie do mnie...

- Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek poznała kogoś podobnego do pana - powiedziała zniecierpliwiona.

- Jest uczciwy, stateczny i podziwia panią za pani rzetelność, nieprawdaż?

Ta uwaga naprawdę podziałała jej na nerwy, ponieważ od razu przyszły jej na myśl ostatnie słowa Kennetha... Och, rozmowa z tym nieznośnym człowiekiem naprawdę zaszła za daleko! Jane zdecydowanym ruchem sięgnęła po ostatnią deskę ratunku - okulary w czarnych oprawkach - i założyła je na nos.

- Poproszę o trochę więcej szczegółów - powiedziała chłodnym tonem. - Nazywa się pan Gilbert Wakeham... Pańska data urodzenia?

Gdy oznajmił, że ma trzydzieści pięć lat, Jane spojrzała nań, nie kryjąc zaskoczenia.

- Nie jestem już takim żółtodziobem, jak pani pewnie myślała - wtrącił, jakby czytając w jej myślach.

Dopiero teraz zauważyła, że miał twarz mężczyzny po trzydziestce. Dała się zmylić jego smukłej sylwetce, sprężystym ruchom i młodzieńczym manierom.

- Pański adres? - kontynuowała.

Spostrzegła, że zawahał się chwilę, nim odpowiedział:

- Mieszkam w wozie kempingowym...

Z westchnieniem odłożyła pióro.

- Chyba nie spodziewał się pan, że dam kredyt komuś, kto nie ma stałego miejsca zamieszkania?

- Szczerze mówiąc, spodziewałem się, nim założyła pani okulary - odparł swobodnie.

- Bardzo przepraszam, ale mam dzisiaj mnóstwo pracy, więc jeśliby pan zechciał...

- Nie opowiedziałem pani jeszcze o swoim biznesie - przerwał jej zwodniczo błagalnym tonem. - Proszę tylko spojrzeć... - Rozłożył na biurku album z fotografiami; okazałych rozmiarów zdjęcia przedstawiały eksplodujące fajerwerki w bajecznych kolorach, które raz opadały niczym kaskady olśniewającego deszczu, to znów układały się we wzory na tle czarnego nieba. - Oto mój biznes - powiedział z dumą w głosie. - Urządzam pokazy sztucznych ogni na terenie całego kraju. Przyczepa kempingowa jest po prostu najwygodniejszym miejscem zamieszkania.

- Na co potrzebny panu kredyt?

- Na dalsze inwestycje. Chciałbym kupić lepsze fajerwerki i urządzać bardziej ambitne imprezy. W marzeniach widzę przedstawienia, które mógłbym zrobić, ale brak mi pieniędzy na ich zrealizowanie. Mając dwa

tysiące funtów, mógłbym kupić komputer i przy jego pomocy opracować szczegółowy plan...

- Jak długo pan się tym zajmuje, panie Wakeham? - spytała, zauważając napis na okładce albumu: „Magiczne Fajerwerki Wakehama”.

- Pół roku.

- Czy posiada pan jakieś księgi rachunkowe?

- Pokazuję pani niebiańskie cuda, a pani pyta o rachunki - wykrzywił z niesmakiem usta.

- Każda moja decyzja musi zostać zatwierdzona przez zarząd banku, a ja w swojej opinii nie mogę powoływać się na cuda.

- Zarząd banku! Opinia! - powtórzył za nią wzgardliwym tonem. - Proszę tylko spojrzeć na ten różowo-niebieski deszcz płynący z nieba. Czy mam pani opowiadać, jak cudowne są sztuczne ognie? Trzeba popatrzeć do góry, żeby je zobaczyć, a niestety, większość ludzi przez całe życie nie odrywa oczu od ziemi. Cóż, dla nich świat jest czarno-biały... Och, w porządku, skoro koniecznie chce pani liczb... oto one! - dokończył zmienionym, prawie poważnym tonem, kładąc przed nią kilka kartek papieru.

Z pewnym zdziwieniem Jane stwierdziła, że dane były rzeczowe i umiejętnie przedstawione. Gil Wakeham oprócz swej artystycznej duszy posiadał więc także kilka innych zalet...

- Proszę powiedzieć mi coś więcej o pańskiej drodze zawodowej - powiedziała życzliwie. - Gdzie pan przedtem pracował?

Odniosła wrażenie, że to pytanie go zmieszało.

- A cóż to ma za znaczenie? - Wzruszył nie dbale ramionami. - To moje zdolności w obecnym przedsięwzięciu zdecydują, czy właściwie wykorzystam kredyt.

- Kredyt, na który nie ma pan wielkich szans - wtrąciła skwapliwie.

- W porządku - skapitulował. - Urodziłem się w Londynie. Pracowałem tu i tam... Otarłem się o księgowość. Rachunki są prowadzone prawidłowo, nieprawdaż?

- Owszem - zgodziła się. - Czy jest ktoś, kto mógłby za pana poręczyć?

- Nikogo nie mógłbym o to prosić. - Skrzywił się lekko. - Chcę wszystko zrobić samodzielnie.

- Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji, panie Wakeham. Muszę wprowadzić te dane do komputera, a jedyną rzeczą, jaką komputer może zrobić w tym przypadku to... umrzeć ze śmiechu.

- Komputery się nie śmieją - skwitował ponuro. - To ich główna wada. Ludzie się śmieją... Śpiewają, krzyczą i klaszczą na moich pokazach. I odchodzą uszczęśliwieni. Cóż o tym mogą wiedzieć komputery?

- To wszystko brzmi cudownie, ale potrzeba nam solidniejszej podstawy niż pański dziecinny entuzjazm.

- Dziecinny? Och, oby niebiosy pani wybaczyły!

- Oby niebiosy wybaczyły panu marnowanie mojego czasu - odrzekła szorstko. - To jest bank, a nie instytucja dobroczynna. - Zdała sobie sprawę, że zniecierpliwienie brało w niej górę nad dobrymi manierami, chwyciła więc głęboki oddech i spróbowała ponownie: - Czy ma pan więc jakieś zabezpieczenie? Jakiś majątek ruchomy?

- W tej chwili mam zapas fajerwerków wartości dwustu funtów, ale ponieważ dziś wieczór większość z nich zostanie wystrzelona, trudno traktować je jako zabezpieczenie. Można je określić jako... aktywa znikające.

- A pański wóz kempingowy? Czy ma jakąś wartość?

- Niewielką, kupiłem go z trzeciej ręki. Ciągle się psuje i muszę go sam naprawiać.

Jane z rozpaczą rzuciła pióro.

- Aż trudno mi uwierzyć, że był pan tak naiwny, by przyjść tu i prosić o pożyczkę!

- Mam talent i oferuję ciężką pracę. Czy to się w ogóle nie liczy?

- Niestety, to nie są wymierne wartości, takie, które można zsumować na papierze.

- A skoro nie można, to nie istnieją, czy tak? - powiedział z wyrzutem. - Panno Landers, żal mi pani!

- Jest pan nie tylko nieodpowiedzialny, lecz także arogancki! - obruszyła się.

- Żal mi pani, ponieważ nie potrafi pani oderwać się od liczb - dokończył.

- To podstawowy wymóg w mojej pracy - odparła sztywno.

- Jest pani o wiele za młoda i zbyt piękna, by dać się wessać temu miejscu, z jego funkcjonalnym biurkiem, ekranem komputera oraz tymi pustymi, jasnymi ścianami.

- One są bardzo praktyczne - odrzekła szorstko.

- Praktyczne! - zawołał. - Niech Bóg ma panią w opiece! Czyżby to było najistotniejsze kryterium w pani życiu?

Wiedziała, że wdawanie się z nim w polemikę było czystym szaleństwem, ale nie mogła się powstrzymać. Coś gwałtownego, jakaś nieobliczalna żywotność tkwiąca w tym mężczyźnie pociągała ją wbrew niej samej.

- Moje życie nie jest pańską sprawą - odpowiedziała ze złością. - Ale coś panu powiem: jest ono stabilne i opiera się na trwałych wartościach, o których pan zapewne nawet nie słyszał.

- Przeciwnie, słyszałem o nich zbyt dużo, tak jakby tylko one się liczyły. A one... cóż, sprowadzają się do ustawicznej pogoni za pieniędzmi...

- Przypominam, że właśnie pogoń za pieniędzmi przywiodła pana do naszego banku, panie Wakeham.

- Owszem. Ale ja potrzebuję pieniędzy jedynie po to, aby zamienić je na coś pięknego - wyjaśnił.

- Pokaz fajerwerków! - zakpiła.

- Pokaz fajerwerków zrobiony z fantazją może być prawdziwym dziełem sztuki.

- Ma pan tupet porównywać się do artysty?

- Jestem z pewnością większym artystą niż ten, który zaprojektował te gustowne tapety na pani ścianach. Czy wie pani, że zostały wybrane ze względu na ich brak wyrazu, nijakość? A sztuka powinna prowokować do wielkich wzruszeń, do okrzyków podziwu. Potrafię stworzyć prawdziwą feerię świateł na niebie... i w tym sensie niewątpliwie jestem artystą.

- Wobec tego myślę, że to już wszystko - powiedziała Jane głosem dobitnie świadczącym, że uważa rozmowę za zakończoną.

- Potrafię sprawić, że ujrzy pani świat, jakiego nigdy dotąd pani nie widziała - ciągnął, jakby nigdy nic. - Mogę pani pokazać kolory rozbłyskujące na niebie i spływające kaskadami lśniącego deszczu... Założę się, że pani życie jest całkiem pozbawione blasku...

- Jestem urzędnikiem bankowym - powiedziała oschle. - W moim życiu nie powinny eksplodować fajerwerki.

- A w pani sercu? - Spojrzał na nią przenikliwie.

- To nie jest temat do rozmowy, a dalsza pana tutaj obecność jest bezcelowa...

- Zastanawiam się, do kogo należy pani serce...?

- Dość! - przerwała mu ostro. - Proszę stąd wyjść!

- Jeśli teraz stąd wyjdę, będzie to oznaczać, że poniosłem porażkę.

- Owszem, poniósł pan porażkę, panie Wakeham. Bank Kellsa nie może udzielić panu kredytu.

- Nie mam na myśli kredytu. Mówię o pani, o kobiecie schwytej w sidła, siedzącej w tej szarej jaskini... Gdybym tylko mógł stąd panią wydostać, pokazałbym pani prawdziwe cuda...

Już miała go zbesztać, ale jakaś dziwna, wibrująca nuta w jego głosie zastanowiła ją. Spojrzała mu w oczy. I to był błąd! Wyraz jego oczu świadczył, że wcale nie mówił o fajerwerkach...

- Cuda - powtórzył konspiracyjnie ściszym tonem. - Magia... Czy pani wie coś o magii?

- Nie...

- Nie? A więc istnieje dla pani tylko jedno życie? Tu i teraz? A co z innym światem, w którym istnieją cudowne rzeczy? Jeśli żyje pani, nie mając żadnego kontaktu z tamtym światem, to tak, jakby w ogóle pani nie żyła. A pani solidny przyjaciel, ten w krawacie i z poczuciem odpowiedzialności, czy on wtajemnicza panią w magię?

- Naprawdę wystarczy - ucięła stanowczo Jane. - Przykro mi, panie Wakeham, ale nie mogę wyrazić zgody na tę pożyczkę.

- Proszę jeszcze nie decydować - rzekł z naciskiem. - Proszę najpierw przyjść i zobaczyć moją pracę. Dziś wieczór na zakończenie dorocznej imprezy wystawienniczej w naszym hrabstwie robię pokaz sztucznych ogni. Ręczę, że ich blask i wspaniałość wpłyną na zmianę pani decyzji.

- Nic nie zmieni mojej decyzji - powiedziała z desperacją.

Czy istniał jakiś sposób, by w rozmowie z tym mężczyzną należało do niej ostatnie słowo?

- Do zobaczenia dziś wieczorem - powiedział wesoło.

Przy drzwiach uścisnął jej rękę; dziwny prąd wstrząsnął jej całym ciałem.

- Do widzenia, panie Wakeham - powiedziała stanowczo, niemal wrywając dłoń z jego uścisku.

Gdy wyszedł, ciężko westchnęła; nadal czuła na skórze dreszcze. Rozejrzała się po swoim biurze - miejscu swojego triumfu, jak zawsze myślała. Wydawało jej się teraz dziwnie obskurne, a ściany napierały na nią, jakby znajdowała się w więziennej celi...

Odepchnęła od siebie tę irytującą myśl. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, aby przywrócić jasność umysłu.

Drzwi uchyliły się nieoczekiwanie i pani Callam wsunęła głowę.

- Przepraszam, ale chciałam pani serdecznie podziękować - powiedziała nieśmiało. - Oczywiście, nie chciałam przeszkadzać; gdy był u pani ten przystojny młody człowiek.

- Nie sędzę, by był szczególnie przystojny - zaprzeczyła szybko Jane.

- Och, oczywiście, że tak! Przystojny i jaki uroczy! - Stara kobieta zarumieniła się, oczy jej błyszczały.

- Dla mnie liczą się w człowieku walory wewnętrzne - powiedziała chłodno Jane.

- Moja droga... - Pani Callam skrzywiła się. - Miałam dwóch mężów i, proszę mi wierzyć, że wartości wewnętrzne nie są w życiu wszystkim.

- Nie sędzę, by wdzięk i czar osobisty potrafiły je zastąpić - odparła stanowczo Jane.

Pani Callam obrzuciła ją współczującym spojrzeniem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kolacja była wyśmienita - dania doskonale dobrane i podane - jak zresztą zwykle, gdy jadła ją z Kennethem.

Przyjechał po nią dokładnie o siódmej i przywiózł swym luksusowym samochodem do najdroższej restauracji w Wellhampton. Kierownik sali, powitawszy ich jak dobrych znajomych, natychmiast zaserwował ich ulubione aperitify.

Jane miała na sobie szykowną czarną sukienkę z błyszczącego jedwabiu ozdobioną sznurem pięknych pereł. Gdy weszła do sali, poczuła na sobie pełne podziwu spojrzenia.

Dopiero tutaj mogła swobodnie odpocząć - bezpieczna w znajomym otoczeniu i otoczona opiekuńczymi skrzydłami Kennetha. Miał dopiero trzydzieści lat, ale wyglądał poważniej - być może ze względu na pewną wrodzoną ociężałość ruchów oraz flegmatyczny sposób zachowania. Myśli Jane mimochodem poszybowały ku smukłej, sprężystej sylwetce Gila Wakehama, który, choć o całe pięć lat starszy od Kennetha, miał tyle młodzieńczego wdzięku...

Szybko skarciła się w duchu. Co też w nią dzisiaj wstąpiło?!

- Cieszę się, gdy spędzamy razem wieczór, Kenneth - powiedziała, jakby musiała zapewnić samą siebie.

- Moja droga... - zaczął z wolna. - Jestem doprawdy zachwycony, ale powiedziałaś to takim tonem, jakbyś składała jakieś oficjalne oświadczenie.

- Och... - zmieszała się lekko. - Po prostu myślę, że nie powtarzam ci wystarczająco często, jak bardzo cię cenię i szanuję.

- Przypomnę ci o tym, gdy następnym razem wystąpię o kredyt. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie mówmy dziś o kredytach! - wtrąciła dość szorstko.

- Och, przepraszam. To był żart. Zapomniałem, że jesteś nie tylko pracownikiem banku, lecz także piękną kobietą.

Mimo że użył odpowiednich słów, uderzyły one w niewłaściwą nutę. Zdała sobie nagle sprawę, że nie było w nim nic spontanicznego - chyba że rozmowa dotyczyła spraw zawodowych... Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła?

- Jak tam przygotowania do złotych godów twoich dziadków? - spytał uprzejmie.

- Całkiem sprawnie. Ale, muszę przyznać, że ciężar organizacji spada na barki mojego brata, Jamesa i jego żony. Oni mają duży dom, będą więc mogli przyjąć całą liczną rodzinę.

- Naprawdę zbiorą się wszyscy?

- Oczywiście. Włącznie z wujem Brianem, który przyleci aż z Australii. Jedyne problem, to utrzymanie tego w sekrecie przed Sarą i Andrew. Są przekonani, że przygotujemy skromną kolację, a tymczasem zastaną u Jamesa ponad setkę gości!

- Nie mogę się nadziwić, że dwoje sędziwych ludzi pozwala swym wnukom zwracać się do siebie po imieniu.

- Dawno temu, jeszcze jako dzieci, nazywaliśmy ich dziadkiem Andrew i babcią Sarą, w odróżnieniu od innych dziadków w rodzinie. A potem, jak już dorośliśmy, po prostu wystarczyły nam same ich imiona.

- Twoi dziadkowie muszą być dumni ze swojej rodziny; pięcioro dzieci, osiemnaścioro wnucząt, a wśród nich żadnej czarnej owcy! - Roześmiał się. - Miałem na myśli prawo i bankowość, te dwie szacowne profesje, w których wszyscy z was się odnaleźli.

- Nie zapominaj o Tonym, który próbował zostać aktorem.

- No tak, ale w końcu odzyskał rozum.

- Owszem, ale wydaje mi się, że odkąd pracuje w banku, nie jest szczęśliwy...

- Nie doszedł tak daleko jak ty, i wątpię, czy kiedykolwiek dojdzie, ale ma ugruntowaną pozycję i przysparza sławy rodzinie. - Kenneth wypił łyk wyśmienitego wina, po czym ciągnął w zadumie: - Małżeństwo, które przetrwało pięćdziesiąt lat, to bez wątpienia szczęśliwe małżeństwo... Nigdy nie zapomnę, gdy po raz pierwszy zaprosiłaś mnie na kolację z nimi i twój dziadek opowiadał anegdotę o króliku. Twoja babka łowiła każde jego słowo z ogromnym zainteresowaniem.

- Nigdy byś się nie domyślił - Jane uśmiechnęła się pod nosem - że słyszała tę historyjkę już co najmniej tysiąc razy. Dziadek opowiada ją za każdym razem, gdy poznaje kogoś nowego. Och, babcia zawsze śmieje się tak, jakby słyszała ją po raz pierwszy w życiu.

- A widzisz? To się nazywa przywiązanie! Wspieranie się w dobrych i złych chwilach, poczucie wzajemnego bezpieczeństwa, odpowiedzialność za drugiego człowieka...

- A co z miłością? - wtrąciła Jane. - Czy ona się nie liczy?

- Oczywiście. Ludzie powinni się żenić, ponieważ małżeństwo pomaga im przetrwać w trudnych chwilach.

- Mówisz zupełnie tak, jakby małżeństwo było operacją desantową - poskarżyła się lekko.

- W pewnym sensie życie przypomina operację desantową - zauważył filozoficznie Kenneth. - Dlatego tak ważną sprawą jest dobór partnera. A najważniejsze w życiu są te wartości, które nie przemijają.

- Ale rzeczy, które nie trwają długo, też mogą być ważne, nieprawdaż?

- Co masz na myśli? - zaciekał się.

- Na przykład... wybuchy fajerwerków. Trwają tylko sekundy, ale pozostawiają niezapomniane wrażenia.

- Zadziwiasz mnie, Jane! Moim zdaniem prawdziwe piękno tkwi w wielkiej sztuce, nie zaś w takich ulotnych przedstawieniach. Wspaniały obraz potrafi nas wzniosie nastroić w szarej codzienności. - Znów upił łyk wina. - Nie wspominając już o jego wartości.

- Ale oglądanie obrazu też należy do przelotnych wrażeń - zauważyła. - Nie można stać i przyglądać mu się bez końca.

- Za to można kupić reprodukcję. - Kenneth nie dał za wygraną.

Aby zmienić temat, Jane spytała go o interesy. Kenneth był właścicielem dobrze prosperującej firmy budowlanej.

- Wynajęcie stoiska na dorocznej wystawie było mistrzowskim posunięciem - powiedział, gdy podano główne danie. - Derek twierdzi, że cieszyło się wielkim zainteresowaniem.

- To świetnie - wtrąciła uprzejmie.

- Wiedziałem, co robię, zabiegając o najlepsze miejsce. Próbowali mnie wystrychnąć na dudka, oferując stoisko obok wesołego miasteczka, ale nie dałem się nabrać. Moim zdaniem instalowanie tam wesołego miasteczka w ogóle było błędem.

- Ludzie lubią spędzić dzień z rodziną poza domem.

- Ale to nie było odpowiednie miejsce. Podczas targów prowadzi się wiele poważnych rozmów, pieniądze przechodzą z rąk do rąk, zawiera się kontrakty. Co ma z tym wspólnego wesołe miasteczko? Albo fajerwerki, jeśli wolno spytać?

Zrzedził na ten temat prawie do końca kolacji. Jane słuchała go jednym uchem i od czasu do czasu odpowiadała monosylabami. Gdy pili kawę, Kenneth zerknął na zegarek, po czym wyciągnął telefon komórkowy.

- Wystawa już pewnie dobiega końca - oznajmił. - Zadzwoń do Dereka i spytam, jak dziś poszło.

- A może tam pojedziemy? - zaproponowała impulsywnie.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, moja droga. - Kenneth posłał jej szeroki uśmiech. - Porozmawiam z Derekiem, a potem przedyskutujemy z tobą sprawy finansowe, zgoda?

Gdy opuścili restaurację, było już całkiem ciemno. Po kilku minutach jazdy znaleźli się na terenie targów. Kenneth skierował samochód na parking i wówczas Jane zauważyła stojący pod drzewami wóz kempingowy; na boku miał wymalowany napis: „Magiczne Fajerwerki Wakehama”.

Wysiedli z samochodu i podeszli do pierwszych stoisk rzęsiście oświetlonych i osłoniętych markizami. Gdy zbliżyli się do stoiska Kennetha, Derek zajęty był rozmową z klientem. Po chwili mężczyźni uścisnęli sobie ręce, zapewniając o spotkaniu w przyszłym tygodniu w celu ustalenia szczegółów kontraktu.

- Świetnie! - rzekł uradowany Kenneth po odejściu klienta. - Mam nadzieję, że miałeś dziś więcej takich klientów.

Mężczyźni pograżyli się w rozmowie o interesach, tylko od czasu do czasu zwracając się do Jane w celu potwierdzenia jakichś finansowych szczegółów. Odpowiadała niemal machinalnie, pochłonięta myślą o rozpoczynającym się za dziesięć minut pokazie sztucznych ogni.

Ogarnął ją dziś wieczór jakiś przedziwny, ekscytujący niepokój; miała ochotę pospacerować wśród stoisk, zobaczyć coś nowego... Próbowała zwrócić uwagę Kennetha, ale on był tak pochłonięty załatwianiem interesów, że wreszcie zrezygnowana oddaliła się sama.

- Panie i panowie, za chwilę na polu za wesołym miasteczkiem rozpocznie się pokaz sztucznych ogni - donosił głos z megafonu.

Chcąc nie chcąc, dała się ponieść tłumowi i niepostrzeżenie znalazła się na obrzeżach wesołego miasteczka, gdzie już pierwsze race zostały wystrzelone w niebo. Ludzie z zadartymi głowami wydawali radosne okrzyki.

Na platformie Jane zobaczyła Gila uruchamiającego jakieś przyciski. Podświetlony od dołu reflektorami wydawał się niezwykle wysoki, a cienie tańczące na jego twarzy nadawały jej tajemniczy, niesamowity wyraz. Jane patrzyła nań jak urzeczona; wyglądał jak mag odprawiający czary i oślepiający swą tajemną mocą. Potrafił rozpalić na niebie ogień... Och, naprawdę był cudotwórcą! Cóż, jej życie do tej pory było całkowicie pozbawione magii...

Wystrzelił już trzy race - jedna po drugiej, które w górze eksplodowały, rozpryskując wokół kaskady złotych iskier. Tłum oniemiał z wrażenia, a potem dało się słyszeć przeciągłe „aach!”, stopniowo przechodzące w okrzyki radości.

Na atramentowym niebie pojawiały się coraz to nowe i nowe kompozycje, rozkwitające jak pęki różnobarwnych kwiatów. Niewiarygodne kolory... Jakby nowe odcienie światła. Lśniące. Urzekająco piękne.

To była nie tylko sztuka, była to również umiejętność. Jane rozejrzała się wokół; tak jak powiedział Gil, ludzie stali zafascynowani, z uśmiechem na twarzach, błyskiem w oczach. A największa radość była z twarzyczek dzieci.

Gdy ostatnie światło rozbłysło na niebie, zdawało się, że przez tłum przeszło ciche westchnienie zawodu. Niechętnie opuszczano wzrok, wracając na ziemię do codziennych problemów, od których choć na chwilę pozwolono im się oderwać.

Gil zeskoczył z platformy i nieoczekiwanie wylądował tuż przy Jane.

- A jednak pani przyszła - powiedział z szerokim uśmiechem na ustach. - Byłem tego pewien.

- Panie Wakeham, to naprawdę czysty przypadek...

- Dzięki Bogu za takie przypadki! - przerwał jej radośnie. - Cóż bez nich warte byłoby życie!

W tym momencie podszedł do nich jakiś młody chłopak.

- Posprzątam za ciebie, Gil - zaoferował się. - Proszę, pozwól!

- Dobrze, Tommy. Wiesz, gdzie znaleźć kubeł. Tylko spraw się dobrze! Ale jutro idź do pośredniaka i znajdź sobie porządną robotę, zgoda?

- Ale ja chcę robić to, co ty! - protestował młodzieniec.

- Daj już spokój! - uciszył go Gil, nie odrywając wzroku od Jane. Kiedy Tommy oddalił się z ponurym wyrazem twarzy, wyjaśnił zaintrygowanej Jane: - Tommy usiłuje się u mnie zaczepić, ale nie mogę go zatrudnić na stałe. Tylko od czasu do czasu pozwalam mu wykonać drobne prace. Teraz poszedł zebrać niewypały. Dla bezpieczeństwa topimy je w wiadrze z wodą. - Wziął Jane za rękę i pociągnął za sobą. - Chodźmy na herbatę, umieram z pragnienia.

Zatrzymali się przy kiosku, gdzie sprzedawano herbatę w plastikowych kubkach. Jane, sącząc gorący płyn, usiłowała zanalizować dziwne uczucie euforii, jakie zaczynało ją z wolna ogarniać. Radość ta była niczym ciepło rozchodzące się po całym ciele - niczym ożywiająca, pobudzająca energia.

Dopiero po dłuższej chwili, z niemym przerażeniem w oczach, zdała sobie sprawę, że to stojący obok niej mężczyzna - jak prawdziwy czarodziej - stwarzał tę radosną i ciepłą atmosferę. Przecież już raz widziała, że potrafił czynić cuda... Tam, na wysokiej platformie, wszechpotężny czarodziej zaklinał złe moce i rzucał uroki. Czyżby ją także zaczarował, napęlniając jej serce nie znaną dotąd lekkością i szczęściem? Tylko w ten sposób twardo stąpająca po ziemi, rozsądna Jane Landers, mogła sobie wytłumaczyć fakt, że dała się na chwilę ponieść zadziwiającej fantazji.

- Gil, mam cię wreszcie! - Zbliżał się ku nim przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, radny miejski, pan Morton, organizator dorocznej wystawy. -

Cudowny pokaz! - zachwycił się. - Po prostu byłeś wspaniały. Musisz zarezerwować dla nas termin w przyszłym roku.

- Jeśli utrzymam się w interesie - odparł sceptycznie Gil, rzucając Jane z ukosa porozumiewawcze spojrzenie.

- Oczywiście, że się utrzymasz - zapewnił radny Morton. - Wszyscy będą zabiegać o rezerwację terminu. A oto czek. Zechciej tylko podpisać...

- Przysięgam, że tego nie zaaranżowałem - usprawiedliwiał się Gil po odejściu Mortona. - Z ręką na sercu. - Zrobił wymowny gest.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparowała Jane. - Nie wmówi mi pan, że uwaga o wypadnięciu z interesu nie była przeznaczona dla mnie?

- Och, być może - przyznał z uśmiechem. - Ale proszę spojrzeć. - Pokazał jej czek opiewający na sumę dwustu pięćdziesięciu funtów. - Nieźle, co?

- Ciekawa jestem, ile z tego ma pan czystego zysku?

- Och, niechże pani nie będzie taka skrupulatna - poprosił.

- Mam nie być skrupulatna? - zakpiła. - I pan chce, żeby bank pożyczył pieniądze człowiekowi, który lekceważy skrupulatność?

- A teraz, gdy zobaczyła pani moją pracę, co pani o tym myśli?

- Pokaz rzeczywiście był wspaniały. Jest pan artystą, ale...

- Dokończy pani zdanie później, zgoda? - przerwał jej gorączkowo. -

Kiedy ostatni raz była pani w lunaparku?

- Och, to już całe lata!

- W takim razie zapraszam do zabawy!

Nie dając jej czasu na sprzeciw, chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę kolejki górskiej, opatrzonej wielkim szyldem: „Waż”. Chwilę później siedzieli w ciasnym wagoniku, mając przed sobą za jedyną deskę ratunku metalową poręcz.

- Jest pan niemożliwy! - roześmiała się Jane. - Już dawno nie korzystałam z takich rozrywek.

- Proszę dziś wieczór zapomnieć, że jest pani dyrektorem oddziału banku.
- Chwył ją za rękę. - Niech pani poczuje się jak dziecko i cieszy każdą niespodzianką!

I nagle Jane zrozumiała, że właśnie tak powinna żyć. Ale dlaczego ta oczywista prawda dotarła do niej dopiero teraz? Ścisnęła mocniej dłoń Gila i lekko westchnęła, gdy wagonik ruszył.

Tor kolejki najeżony był licznymi przeszkodami, dwoma ostrymi zakrętami i kilkoma pionowymi zjazdami.

- Pomogę ci - zaproponował Gil, gdy Jane kurczowo ścisnęła metalową poręcz, by nie ześlizgnąć się z ławeczki.

Gdy objął ją ramieniem, wcale nie poczuła się bezpieczniej. Od Gila promieniowała elektryzująca siła, która napawała ją lękiem. Szaleństwem było siedzieć w jego objęciach i tulić się do jego piersi.... Rozsądna kobieta nigdy by na coś podobnego nie pozwoliła!

Ale Jane zadziwiła samą siebie - ponieważ w okamgnieniu straciła cały rozsądek. Gdy wagonik przystanął w tunelu i zapadły nieprzeniknione ciemności, pomyślała, że wpadła w pułapkę. Gil nie zna poczucia wstydu i prawdopodobnie wykorzysta okazję, by ją pocałować... Ale czas płynął, a Gil ani drgnął. Czowała jedynie na szyi jego ciepły, przyspieszony oddech. Po chwili kolejka znów ruszyła i niebawem dojechali do mety.

- Chodźmy! - powiedział, ciągnąc ją za rękę. - Za godzinę zamykają, a my mamy jeszcze mnóstwo atrakcji!

- Ale... - usiłowała protestować.

- Czas ucieka - gorączkował się. - Nie czuje pani?

Po chwili, chrupiąc cukrową watę, zwiedzali „Zamek Upiorów”. Później stanęli do pojedynku o to, kto wrzuci więcej obręczy na butelki.

- Oszukiwała pani - poskarżył się Gil, ponieważ Jane wygrała tę konkurencję. - Ostatnia obręcz wcale nie opadła na dół, ale udało się pani przekonać sędziego powłóczystym spojrzeniem swych pięknych oczu.

- Zazdrośnik! - zadrwiła. - Nie potrafi pan przegrywać. Ale teraz zapraszam na hot dogi, a potem na diabelski młyn... i ja płacę! - dokończyła.

- Ma się rozumieć - uśmiechnął się. - Wszystko, co mi pozostało to czek, który w tej chwili jest bezwartościowy. Chyba że wymieni mi go pani na gotówkę?

- Teraz nie mogę.

- I pani nazywa się dyrektorem banku? No cóż, stanowczo powinienem zmienić bank.

Ten komentarz tak ją rozbawił, że śmiała się jeszcze, gdy siadali na krzeselkach obok siebie.

- Nie jest pani odpowiednio ubrana do lunaparku - zauważył, jakby dopiero teraz przyjrzał jej się uważniej.

- Nie wybierałam się tutaj. Ubrałam się na kolację z Kennethem...

- I gdzie on jest?

- Gdzieś go zgubiłam - odparła wymijająco.

Młyn powoli ruszył i wkrótce szybowali w górę, wzbijając się ponad rozświetlone wesołe miasteczko. Jane rychło zrozumiała wątpliwości Gila dotyczące jej stroju. Im wyżej się wznosili, tym robiło się chłodniej. Gil nieoczekiwanie zdjął marynarkę i narzucił jej na ramiona.

- Dzięki - powiedziała z wdzięcznością. - Miał pan rację.

- Czarodziej zawsze ma rację - uśmiechnął się szelmowsko.

W górę i w dół, a potem znów znaleźli się na szczycie. A tam nieoczekiwanie się zatrzymali.

- Dlaczego nie zjeżdżamy? - spytała lekko zdenerwowana.

- Pewnie na dole ktoś wsiada. Za chwilę ruszymy.

Ale tak się nie stało i Jane nagle zdała sobie sprawę, że nie lubi wysokości.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją łagodnie Gil. - I proszę zapomnieć o tym, co pani ma pod stopami. Radzę skorzystać z okazji i przypatrzeć się gwiazdom.

Bardzo ostrożnie uniosła głowę, ponieważ każde poruszenie nieznośnie kołysało krzeselkiem. Wyczuwała za sobą twarde jak stal ramię Gila.

- Czasami marzę o wystrzeleniu moich fajerwerków prosto w niebo - szepnął jej do ucha. - Zobaczysz pani, że kiedyś zrobię przedstawienie, jakiego nikt w życiu nie widział! A gwiazdy będą na mnie wściekłe, że potrafię robić to samo co one. Stworzę nowe odcienie barw... różowych, niebieskich, złotych... wszystkie lśniące i migocące.

- W takim razie gwiazdy będą naprawdę zazdrosne - powiedziała. - One są tylko białe...

- Och, rzucić wyzwanie samemu niebu! - roześmiał się głośno. - Proszę pomyśleć, co za tupet!

Jane czuła, jak powoli mija jej strach i wraca dobry nastrój. Wizja Gila była tak sugestywna, że dała się jej ponieść bez reszty. Zorientowała się po chwili, że Gil zacisnął wokół niej ramię, a potem delikatnie odwrócił ku sobie jej twarz. Muśnięcie jego warg było leciutkie, ale wystarczyło, by odniosła wrażenie, że krzeselko pod nią zniknęło, a ona pofrunęła do góry ku kolorowym gwiazdom, które rozbłysły jednocześnie.

Nie wiadomo kiedy Jane położyła głowę na ramieniu Gila; przytuliła się do niego i poddała pocałunkowi. Dawno temu, jakby w poprzednim wcieleniu, siedziała na diabelskim młynie jak w pułapce. Ale w słonecznym, pięknym świecie, do którego prowadził ją teraz Gil, nie było strachu - tylko rozkosz.

Wargi Gila zrobiły się stanowcze - drażniły i pieściły jej usta, kusząc, ale nie żądając. To był całkiem nowy, nieznajomy Gil... Odprężyła się z lekkim westchnieniem, czując się bezgranicznie bezpieczna.

Gdy znów wzmocnił uścisk, niemal straciła oddech pod coraz bardziej gorączkowym naporem jego warg. Gil mówił o cudach, mając na myśli fajerwerki, ale już samo przebywanie w jego ramionach było cudownym przeżyciem. Ta myśl całkiem ją oszołomiła.

Wybuchy śmiechu i oklaski wybiły ją z transu. Gdy przestraszona otworzyła oczy, okazało się, że znów są na dole i przygląda im się uśmiechnięty tłum gapiów.

- Jak się tu znaleźliśmy? - spytała zażenowana.

- Karuzela ruszyła, gdy byliśmy bardzo zajęci - odpowiedział z zagadkowym uśmiechem.

Starła się wyczytać z jego twarzy, czy przed chwilą odczuwał taką samą napiętość jak ona, ale jego uśmiechnięte oczy miały nieprzenikniony wyraz. Czyżby jej się zdawało, że dojrzała w nich oznaki napięcia?

Nagle opanował ją strach. Jak mogła tak się zatracić - tak dać się ponieść chwili, by nie zauważyć, co dzieje się wokół?

- Dziękuję za marynarkę - powiedziała pośpiesznie, gdy wysiedli.

- Możesz zwrócić mi ją kiedy indziej...

- Naprawdę muszę już iść. Do widzenia!

- Jane, poczekaj...

- Muszę, naprawdę muszę - powtórzyła z uporem.

Odwróciła się i uciekła. Po prostu uciekła. Była zbyt uczciwa, by nie przyznać się, że ucieka przed nieznanym, przed magią - że wraca do bezpiecznej, uporządkowanej codzienności.

Odnalazła stoisko Kennetha, ale było już puste. Kenneth zmęczył się czekaniem i odjechał. Nie mogła go za to winić. Szybko skierowała się w stronę postoju taksówek. Impreza dobiegała końca - gaszono ostatnie światła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jane obudziła się z ponurą myślą, że zrobiła z siebie idiotkę. I nie miała dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Ona - dumna ze swej wewnętrznej równowagi, dała się zwieść trikom sprytnego kuglarza!

Jęknęła na myśl, z jaką łatwością wpadła mu w ramiona. Ale wspomnienie pocałunku - dotyku twardych ust Gila - przeraziło ją swą gwałtownością i jednocześnie zawstydziło. Gil reprezentował świat, któremu nie ufała. A jednak w jego objęciach zapomniała o bezpiecznym, uporządkowanym świecie, w którym żyła. Nigdy dotąd z żadnym mężczyzną nie doznała takich wrażeń.

W chłodnym świetle poranka z łatwością dostrzegła jego strategię. Dziś rano przyjdzie do banku pod pozorem realizacji czeku, święcie przekonany, że wystarczająco oczarował panią dyrektor, żeby wyłudzić kredyt. Jakże mogła dać się na to nabrać!

Pospiesznie zjadła śniadanie złożone tylko z czarnej kawy i połówki grejpfruta - bardzo odpowiedni zestaw, by zbilansować wczorajszą lemoniadę, hot dogi i cukrową watę - po czym zatelefonowała do Kennetha.

- Przepraszam, że wczoraj się zawieruszyłam - usprawiedliwiła się. - Wpadłam na interesanta, który męczy mnie o kredyt. Mam nadzieję, że zbytnio się nie zamartwiałeś?

- Cóż, czułem się trochę niezręcznie... Ale mniejsza z tym. Mamy mnóstwo zamówień i będę rozbudowywał firmę. Chciałbym jak najszybciej zorientować się w moich finansach.

- Masz przecież otwarty kredyt, Kenneth. Nie powinno być problemów. Ale lepiej, jeśli porozmawiamy o tym w banku - dodała z irytacją w głosie. - Moja sekretarka zadzwoni do ciebie i ustali termin spotkania.

W drodze do pracy Jane dokonywała stanowczych obrachunków. To nie może trwać dłużej... Jeśli Gil pojawi się w banku, nie uda mu się z nią zobaczyć.

Gdy tylko znalazła się w swoim gabinecie, natychmiast wezwała do siebie Harry'ego.

- Słuchaj uważnie - poinformowała go szorstkim tonem. - Jeśli pan Gil Wakeham przyjdzie zrealizować czek... - Urwała i gwałtownie wciągnęła powietrze. Olśniewające kolory wirowały jej przed oczami. Wysoko na aksamitnym niebie białe gwiazdy lśniły i tańczyły ze swymi kolorowymi rywalkami...

- Słucham? - wtrącił Harry, przypatrując jej się z niepokojem.

- Proszę nie zapomnieć mnie o tym powiadomić - dokończyła.

- Czy to czek dużej wartości?

- Dwieście pięćdziesiąt funtów.

- Przy takiej sumie zazwyczaj nie... - Harry zmarszczył brwi.

- Zrób, o co proszę - rzuciła ostro. - I uprzedź o tym innych. Przez cały poranek usiłowała skoncentrować się na pracy.

Gdy do południa Gil się nie pojawił, zrezygnowała z wyjścia na lunch i zjadła kanapkę w biurze. Ale po południu Gila również nie było. Jane mechanicznie pracowała do wpół do piątej, po czym poinformowała sekretarkę, że wychodzi wcześniej.

I wyszła - a właściwie wybiegła jak burza do samochodu. Kilka minut później dotarła do miejsca, gdzie jeszcze wczoraj odbywały się targi. Dziś panowała tu głucha cisza i pustka. Stoiska oraz urządzenia z wesołego miasteczka rozebrano już i załadowano na ciężarówki.

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu zaparkowanego samochodu Gila - ale nie było po nim śladu. Gil odjechał!

Pochyliła się nad kierownicą tak gwałtownie, jakby otrzymała cios w żołądek. Czarodziej rozpląnął się we mgle... Poczowała, że ogarnia ją panika. A jeśli nigdy więcej go nie zobaczy...?

- Szukasz Gila, złotko? - zagadnęła do niej starsza kobieta, która wczoraj wieczorem sprzedawała herbatę.

- Tak, widzi pani... - zająknęła się zażenowana. - Nie zdążyłam wczoraj zanotować, dokąd wyjeżdża...

- Do Hawley - poinformowała ją od razu kobieta. - Jakiś tamtejszy bogacz urządza huczne urodziny swej córce - dodała.

- Nie zna pani przypadkiem dokładnego adresu w Hawley?

Kobieta zmarszczyła brwi, a Jane w napięciu wstrzymała oddech.

- Chyba przy Chadwick Street - powiedziała po namyśle. - A może Chadwick Road... albo Chatterham? Nie pamiętam dokładnie. W każdym razie przy jednej z nich.

Do Hawley było prawie trzydzieści kilometrów, ale Jane pędziła tak szybko, jakby miała przed sobą trzysta. Oczywiście, przez cały czas prowadziła sobie w duszy kazania. Nie powinna tam jechać... Jeśli czarodziej zniknął -

Bóg z nim, i z niebezpiecznym wpływem, jaki wywierał na jej życie. Powinna natychmiast zawrócić. Ale zamiast tego, nacisnęła mocniej pedał gazu.

Dotarła do miasteczka już po zamknięciu sklepów. Jakiś przechodzień skierował ją na Chadwick Street, ale tam nie odnalazła śladu Gila. Jadąc na Chatterham Street, prosiła tajemne moce, by tym razem dopisało jej szczęście.

Szeroką, okoloną drzewami ulicą, przy której stały luksusowe domy, jechała wolno, rozglądając się na obie strony. A mimo to omal nie przegapiła pojazdu Gila zaparkowanego przed jedną z posesji. Gwałtownie zahamowała i cofnęła wóz.

Chwilę później wyskoczyła z samochodu i biegła do Gila, który w tym samym momencie wysunął głowę z przyczepy.

- Jesteś nieodpowiedzialny i bezmyślny! - rzuciła mu w twarz. - Czy wiesz, jak trudno mi było ciebie odszukać? Jak śmiałeś wyjechać, nie dając znaku życia?

- Słucham? - Zamrugnął powiekami, wyraźnie zaskoczony.

- Uważasz, że to skuteczny sposób prowadzenia interesów? Jak mam udzielić kredytu człowiekowi, który znika bez uprzedzenia?

- Ale przecież nie zamierzasz udzielić mi kredytu - przypomniał ze złośliwym błyskiem w oku.

- To nie ma nic do rzeczy - odparła wymijająco.

- Uważałem sprawę kredytu za straconą - powiedział z niewinnym uśmiechem. - Ale skoro...

- Och, jeśli to twój fortel, żeby mnie przekonać, że jesteś wart ryzyka... - zaczęła zniecierpliwiona.

- Wejdz, proszę - przerwał jej łagodnym tonem, cofając się do wnętrza swego domku na kółkach.

Po chwili Jane znalazła się w niewielkim pokoju, załadowanym pudłami, paczkami i zwojami kabli. Mimo to było tu o wiele przytulniej, niż się spodziewała.

- Pozwól, że ci się przyjrzę. - Delikatnie położył dłonie na jej ramionach.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Twoja ucieczka wczorajszego wieczoru bardzo mnie zaniepokoiła.

Próbowałem cię dogonić, ale zniknęłaś w tłumie. Bez problemów dotarłaś do domu?

Te słowa - w porównaniu z obojętnością Kennetha - podziałały jak balsam na jej serce. W oczach Gila dostrzegła szczerą życzliwość, a dłonie wsparte na jej ramionach promieniowały błogim ciepłem. Zauważyła, że dzisiaj był starannie ogolony - ale wcale nie dodawało mu to powagi.

- Bez kłopotu znalazłam taksówkę - odparła.

- Taksówkę? Twój przyjaciel cię nie odwiózł?

- Zrezygnował z czekania i odjechał - wyznała.

Gil otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili zmienił zamiar i tylko wzruszył ramionami.

- Ja też się o ciebie niepokoiłam - powiedziała cicho. - Wiedziałam, że nie masz gotówki, myślałam więc, że przyjdiesz do banku wymienić czek.

- Znalazłem jeszcze parę groszy w kieszeni - powiedział niedbale. -

Wystarczyło na benzynę. A dziś wieczór dostanę kolację za darmo. Miałem zamiar odwiedzić cię jutro...

Jane musiała odwrócić głowę, żeby nie zauważył wyrazu radości na jej twarzy. A więc nie zamierzał tak po prostu wyjechać i zakończyć znajomości z nią!

- Mam nadzieję, że rozumiesz, co mam na myśli - ciągnął. - Nie zrezygnowałem z planu przekonania cię, że potrafię zarobić pieniądze. A teraz, co powiesz na filiżankę herbaty, nim przystąpię do pracy?

Postawił czajnik na małej maszynie, po czym opuścił przytwierdzony do ściany stół i usadowił Jane na sofie. Zapanowała ciepła, domowa atmosfera - całkiem odmienna niż wczorajszego wieczoru. Gil przez cały czas zachowywał się przyjaźnie, ale powściągliwie, jakby zupełnie zapomniał o wczorajszych namiętnych pocałunkach na diabelskim młynie, za co była mu w duchu ogromnie wdzięczna.

Gdy rozlewał herbatę, rozległo się pukanie do drzwi, po czym wtargnął do środka postawny jegomość.

- Cieszę się, że pan przyjechał - powiedział grzmiącym głosem.

- Dobry wieczór, panie Walters - odparł uprzejmie Gil.

Dan Walters obrzucił twardym spojrzeniem Jane.

- Nie wspominał pan, że przywiezie asystentkę - rzekł podejrzliwie. - Ustaliliśmy honorarium i nie dorzucę ani pensa dla drugiej osoby.

- Nie śmiałybym o tym marzyć, panie Walters. - W głosie Gila brzmiała ironia.

Jane już miała zaprzeczyć, że nie jest niczyją asystentką, ale Dan Walters nie dał jej szansy. Wyszedł na chwilę, by zawołać do żony:

- Brendo, sztukmistrz od fajerwerków i jego Piętaszek już przybyli.

Otwórz im bramę!

Piętaszek! Jane była wstrząśnięta, natomiast Gil aż trząsał się ze śmiechu.

- To wcale nie jest śmieszne - obruszyła się.

- Ależ niezwykle! - wymamrotał. - I nie ma sensu zaprzeczać. Gdy ten facet wbije sobie coś do głowy, to na amen.

Jane wkrótce musiała mu przyznać rację. Walters wrócił i patrząc na nią krytycznie, oznajmił:

- Nie posiada pani bardziej praktycznego ubrania?

- Panie Walters, ja nie jestem...

- Zaraz, zaraz... - nie pozwolił jej dokończyć. - Mój syn uwielbia reperować silniki... Jest pani wzrostu. - Znów wychylił się na zewnątrz: - Bren, masz pod ręką kombinezon Jerry'ego? Przynieś go tutaj!

Nim Jane zdążyła uporządkować myśli, Walters rzucił jej kombinezon. Zrezygnowana, posłała Gilowi wymowne spojrzenie, by przynajmniej powstrzymał się od komentarzy. Ale on i tak nie mógłby wykrztusić z siebie ani słowa. Po prostu skręcał się ze śmiechu.

Przebrała się szybko i wyszła za Gilem do ogrodu. Chwilę później podawała mu stalowe rury, biegała do wozu po narzędzia i wykonywała inne drobne czynności. Przy okazji odkryła kolejne wcielenie Gila Wakehama. Poznała już uwodziciela, szaleńca i romantyka, teraz zaś jako żywo przypominał poganiacza niewolników!

Gdy był pochłonięty pracą, nic nie miało dlań znaczenia prócz rezultatu, jaki chciał osiągnąć. Kazał podtrzymywać Jane piramidę z metalowych rur, podczas gdy sam dokręcał sworznie i nakrętki. Gdy zaś coś źle zrobiła albo upuściła, beształ ją bezceremonialnie. Doszła do wniosku, że przynajmniej w tej chwili nie starał się jej oczarować.

W domu rozpoczęło się przyjęcie. Na zewnątrz zapadł już zmierzch, więc Gil wręczył Jane latarkę, by mu oświetlała pole pracy. Gdy przyglądała się jego pochylonej głowie oraz skupionemu wyrazowi twarzy, nagle z drżeniem w sercu zdała sobie sprawę, że świetnie się bawi.

Gdy zrobiło się jeszcze ciemniej i goście wylegli na taras, Gil rozpoczął pokaz. Było to dla Jane całkiem odmienne doświadczenie od wczorajszego w

wesołym miasteczku. Gil wykonywał gwałtowne ruchy, szorstkim głosem rzucał jej polecenia. Nie wynikało to z jego nieuprzejmości - po prostu, tak jak powiedział, był artystą. Jane pomyślała, że Michał Anioł, malując Kaplicę Sykstyńską, z pewnością też zachowywał się obcesowo.

- Trzymaj! - wrzasnął Gil. - A teraz cofnij się i, gdy dam znak, włącz przycisk! Cofnij się! Dalej, dalej... Do diabła, potrzebuję więcej rac. Leżą na łóżku, w pudle. Biegnij po nie!

- Rozkaz!

Pobiegła do wozu, znalazła pudło i wróciła tak szybko, jakby ścigały ją demony. Tylko przez ułamek sekundy zastanowiła się, co tutaj właściwie robi... Ale jedną rzecz wiedziała na pewno - że bawi się wspaniale!

W finale nastąpiła kakofonia świateł, barw i dźwięków. Hałas był tak ogłuszający, że Jane zatykała uszy dłońmi. W migającym świetle Gil uśmiechał się do niej zadowolony. I nagle nastała cisza. Ostatnia rakietka wypaliła się z sykiem.

Widzowie przetarli oczy; rozległy się oklaski, szmer aprobaty, ale Jane wyczuła, że panowała tu inna atmosfera niż wczorajszego wieczoru. Ci ludzie byli mniej podatni na magiczne zjawiska...

Usłyszała komentarz Dana Waltersa:

- Powiedziałem mu, że chcę mieć najbardziej atrakcyjny pokaz i dostałem go! Zawsze dbam o to, by za swoje pieniądze dostać wszystko najlepszej jakości.

W pewnym sensie były to słowa uznania, ale Jane ogarnął gniew, że Gil traci czas i talent dla takich prostaków. Jakże ci ludzie byli powierzchowni!

- Hej, zbieramy się! - pospieszył ją Gil.

Pomogła mu spakować sprzęt i razem zanieśli go do wozu. Podczas gdy on poszukiwał niewypałów, Jane porządkowała pudła. Chwilę później Gil wrócił, a za nim otyła kobieta w kuchennym fartuchu.

- Przyniosłam wam kolację - powiedziała, pokazując papierową torbę. .

W środku były paszteciki, kanapki i kilka cytrynowych ciasteczek - najwyraźniej resztki z przyjęcia.

- Trochę mało jak na was dwoje - zauważyła. - Ale pan powiedział, że umawiał się tylko z jedną osobą. Cóż, na waszym miejscu zjadłabym, zanim poprosi o zwrot - dodała gniewnie i oddaliła się z ponurą miną.

- Oto i hojność twego pracodawcy - zauważyła Jane, wyjmując zawartość torby na stół. - Nic nie tknę. Ledwie starczy dla ciebie...

- Nic z tego! - zaprotestował z uśmiechem. - Zawsze dzielę się ze swymi pomocnikami.

- A nie ma pan zamiaru mi zapłacić, szefie?

- Usiądź już, kobieto - powiedział ze śmiechem - i zacznij dzielić jedzenie. Tylko pamiętaj, że cytrynowe ciasteczka są moje! Możesz za to zjeść kanapki z szynką.

- Czy on nie powinien ci zapłacić? - spytała Jane po kolacji.

- Dopilnowałem, by zapłacił mi przed pokazem. - Gil uśmiechnął się szeroko. - Spotkałem już takich skąpców jak on!

Jakby w odpowiedzi usłyszeli walenie do drzwi.

- Hej, ty mała! - grzmiał Walters. - Ściągaj kombinezon!

- Słucham? - Jane oniemiała ze zdziwienia.

- Kombinezon Jerry'ego! Oddaj go! Myślałaś, że nie zauważę? - Dan Walters stał w drzwiach z groźną miną.

- Panie Walters - powiedziała stanowczo - zapewniam, że całkowicie zapomniałam, że nadal mam go na sobie.

- To nowy kombinezon i całkiem słono kosztował! - huczał Walters. -
Znam ja takie ptaszki jak wy!

Gil ukrył roześmianą twarz w dłoniach.

- Proszę stąd wyjść, obydwaj! - powiedziała Jane lodowatym tonem. -
Przebiorę się.

Gdy Gil wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi, Jane usłyszała jego słowa:

- Zaczekamy tu razem i zatarasujemy wyjście, na wypadek gdyby chciała uciec w kombinezonie Jerry'ego.

Jane mimo woli uśmiechnęła się do siebie. Włożywszy swój kostium, znów poczuła się normalnie. Zwróciła kombinezon Waltersowi.

- Lepiej już odjedźcie - poradził na odchodnym gościnnie gospodarz. -
Blokujecie mi podjazd.

- Przypuszczam, że pora się pożegnać - powiedział Gil, wróciwszy do przyczepy.

- Czy przyjdiesz jutro do banku? - spytała z nadzieją.

- Czek mogę zrealizować gdziekolwiek - powiedział wymijająco. - Nie chciałbym cię znów niepokoić...

- Ale jak sobie poradzisz? - W jej głosie wyczuwało się niepokój.

- Mam zamówienia na całe lato. Wcale nie chciałem, byś myślała, że przymieram głodem. Pieniądze były mi potrzebne na dodatkowe inwestycje.

- Na przykład na komputer, prawda?

- I na głośniki. Chciałbym, aby każdemu pokazowi towarzyszyła odpowiednia muzyka. Pomyśl, jaki by to przyniosło efekt!

Jane doznała nagłego olśnienia - jednego z tych, jakiego doświadczają ludzie znajdujący się na rozstaju dróg. Mogła pozwolić czarodziejowi odjechać w noc i pozostać ze świadomością, że nigdy więcej go nie zobaczy. Albo...

Nerwowym ruchem sięgnęła po torebkę i usiadła przy stoliku.

- Dam ci pożyczkę - powiedziała bez tchu. - Przecież o to prosiłeś, prawda?

- Owszem, ale... - Wpatrywał się w papier, który wcisnęła mu do ręki. - Jane, to jest twój prywatny czek. Nie możesz...

- Gil, Bank Kellsa nie może udzielić ci kredytu. Ale mogę pożyczyć ci własne pieniądze!

- To zbyt ryzykowne, Jane.

- Jeszcze wczoraj mówiłeś co innego.

- Wczoraj rozmawiałem z urzędnikiem banku, a teraz...

- Słucham? - Nagle przepeliła ją nadzieja.

- Teraz rozmawiam z przyjacielem. Nie mogę wziąć pieniędzy od przyjaciela.

Wpadł jej do głowy szalony pomysł; znów poszperała w torebce, wyjęła z niej swe „urzędowo stanowcze” okulary i założyła je na nos.

- Tak lepiej?

Roześmiał się szczerze; odniosła wrażenie, że całkowicie go rozbroiła.

- Niech Bóg cię pobłogosławi za bezgraniczną wiarę we mnie - powiedział. - Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy możliwość zrealizowania swego marzenia.

- Tylko bez sentymentów - rozkazała surowo, patrząc nań spoza okularów. - Policzę ci bankowy procent.

- Ma się rozumieć, panno Landers.

- Jutro dostaniesz odpowiednie wyliczenia. Gdzie będziesz?

- Rano jadę po materiały, ale po południu wracam do Wellhampton.

Zatrzymam się tam, gdzie wczoraj. - Spojrzał na nią figlarnie. - Jane... to

znaczy panno Landers, czy może pani zdjąć te okulary? Są rzeczy, których nie mogę zrobić, mając przed sobą dyrektora oddziału...

Gdy wziął ją w ramiona, poddała się bez oporów. Gil przyzwyczajony do wydawania rozkazów, nakazywał jej teraz bez słów całkowite posłuszeństwo.

Nigdy dotąd nie ulegała zmysłom. Po raz pierwszy w życiu odkrywała gwałtowną, potężną namiętność do mężczyzny, który ją całkowicie oczarował. Zawsze uchodziła za spokojną, zrównoważoną kobietę, której umysł panował nad porywami serca i zmysłów. Jak to się więc stało, że pod dotykiem jego dłoni i warg zadrżała jak w febrze, a potem gwałtownie zaczęła oddawać pocałunki? Pragnęła więcej i więcej...

Jej ciało domagało się tego mężczyzny z zadziwiająco konsekwentną determinacją. Czula się wręcz tak, jakby wstąpiła w nią obca, nieznajoma kobieta, odrzucająca wszystkie zasady życiowe Jane Landers.

Gdy spojrzała w pochyloną nad sobą twarz, zobaczyła, że również Gila ogarnęła gorączka namiętności.

- Gil... - wyszeptała.

Gil z wolna wracał do rzeczywistego świata. Rozluźnił uścisk ramion, mogła znów swobodnie oddychać.

- Myślę, że będzie bezpieczniej, jeśli założysz te swoje okulary. - Głos jego dochodził jakby z drugiej strony szyby.

Pełna podziwu dla jego opanowania, cofnęła się niechętnie, ponieważ jej zmysły buntowały się przeciw rozsądkowi. Nie chciała być rozsądna. Pragnęła fruwać, dotykać gwiazd... A Gil, ten szaleniec, okazał nadzwyczajną przezorność!

- Och, Boże - westchnęła z głębi serca.

- Wiem, kochanie - szepnął jej delikatnie do ucha, a błysk radości rozjaśnił mu twarz. - Są jednak rzeczy, których nie możemy zrobić na podjeździe Waltersa.

- Masz rację - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

- Gdy będziemy mieli cały świat dla siebie, w jakimś odludnym zakątku nad strumieniem...

- Przestań! - błagała. - To brzmi zbyt pięknie.

Odprowadził ją do samochodu. Nim usiadła za kierownicą, odzyskała nieco poczucia rzeczywistości.

- Gil, obiecaj mi coś - powiedziała.

- Wszystko, co zechcesz.

- Otwórz rachunek w jakimś innym banku. Nie przynoś tego czeku do Kellsa. Nie potrafiłabym potem spojrzeć w oczy swoim pracownikom.

Roześmiał się głośno i pocałował ją w czubek nosa.

- Obiecuję.

W drodze do domu Jane rozmyślała o swojej babce - szacownej matronie, która była autorytetem dla całej rodziny. Co by powiedziała Sara, widząc, jak jej wnuczka drwi sobie z konwenansów? - zastanawiała się w duchu. Przecież nie takich mężczyzn jak Gil uczyła mnie podziwiać... Ale - protestowało jej serce - gdyby tylko widziała, w jaki sposób śmieją się jego oczy...

Gdy dojechała windą na trzecie piętro i wyszła na klatkę schodową, od razu pojęła, że coś się stało. Pod drzwiami jej mieszkania widać było smugę światła. Ostrożnie przekręciła klucz w zamku.

- No, jesteś nareszcie! - usłyszała znajomy głos.

- Sara!

Przysadzista kobieta podniosła się z kanapy i podeszła ku niej z wyciągniętymi ramionami.

- Przepraszam, że wdarłam się tu podczas twojej nieobecności, ale nie wiedziałam, kiedy wrócisz... Sąsiadka, której dałaś zapasowy klucz, wpuściła mnie do środka.

- Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziana. Ale gdybyś mnie uprzedziła, przygotowałabym się do twojej wizyty...

- Nie zwracaj sobie głowy - zapewniła ją babka. - Dach nad głową, łóżko i kromka suchego chleba, to wszystko, o co proszę.

Jane uśmiechnęła się lekko, słysząc tę teatralną wypowiedź. Lecz w tej samej chwili kątem oka dostrzegła kilka walizek i w jej głowie włączył się alarmowy dzwonek.

- Saro, co się stało...?

Korpulentna kobieta wyprostowała się i wojowniczo wysunęła podbródek.

- Odeszłam od twego dziadka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez krótką chwilę Jane niczego nie mogła zrozumieć.

- Co zrobiłaś? - spytała oszołomiona.

- Zostawiłam go. Przez lata mówiłam, że to zrobię, i w końcu zrobiłam!

- Ale... przecież nie możesz go tak zostawić.

- Dlaczego nie?

- Przecież jesteście małżeństwem od pięćdziesięciu lat!

- Nie przypominaj mi o tym. Pięćdziesiąt lat słuchania jego dowcipów...

dzień po dniu! Sama się dziwię, że tak długo wytrzymałam.

- Ale co się stało, że podjęłaś tak nagłą decyzję? - dziwiła się Jane.

- Wczoraj wieczorem mieliśmy gości na kolacji i gdy znów opowiedział anegdotę o króliku, nagle uświadomiłam sobie, że jeśli będę musiała wysłuchać jej jeszcze raz, wyskoczę przez okno. Spakowałam więc walizki i odeszłam, co powinnam zrobić już wiele lat temu. Jeszcze nie jest za późno, by rozpocząć życie na nowo!

Jane odprężyła się nieco. Na szczęście nie była to poważna kłótnia, a tylko drobna sprzeczka.

- Zjedźmy kolację - powiedziała uspokajająco. - I zaraz przygotuję pokój gościnny, a potem porozmawiamy.

- Nie gniewasz się, że do ciebie przyjechałam, prawda, kochanie? - spytała Sara z nadzieją w głosie.

- Ależ skądże! Tylko, widzisz, ta wiadomość trochę ścięła mnie z nóg. Czy Andrew wie, gdzie jesteś?

- To nie jego sprawa! - oświadczyła babcia Sara buntowniczym tonem. - I nie próbuj do niego dzwonić. Uciekłam i nie życzę sobie, żeby w to ktokolwiek ingerował!

- Uciekłaś? - Jane wystraszyła się nie na żarty.

- Tylko nie zacznij mnie pouczać. Mam tego dość! Powiedziałam, że uciekłam, to znaczy, że uciekłam. Spróbuj żyć z kimś przez pięćdziesiąt lat, a zobaczysz, że będziesz się czuć jak dożywotni więzień.

- Ale przecież kochasz dziadka Andrew?

- Nie powiedziałam, że go nie Kocham - odparła z namysłem Sara. - Jednak w tej chwili nie mogę znieść jego widoku.

Jane otworzyła usta, ale zaraz szybko je zamknęła. Nie mogła tego wszystkiego pojąć. Miała wrażenie, że ustabilizowany świat, który przez całe życie ją otaczał, rozpada się na kawałki.

Gdy jadły lekką kolację, usiłowała dowiedzieć się czegoś więcej.

- Co powiedział Andrew, gdy odchodziłaś?

- Nic. Nie było go w domu. Zostawiłam mu kartkę. Ale nie wie, gdzie jestem i zabraniam ci do niego dzwonić. Niech się trochę podenerwuje. - W oczach babki pojawiły się zadziorne iskierki.

- Zachowujesz się dziś całkiem inaczej niż zwykle - wtrąciła niepewnie Jane.

- Chcesz powiedzieć, że nie pasuję do opinii, jaką sobie o mnie wyrobiłaś - odparła natychmiast babka.

- Być może masz rację. - Jane była poruszona tą rewelacją.

Na szczęście Sara niebawem poszła do łóżka.

- Miałam męczący dzień - oświadczyła. - Ale jednocześnie ogromnie zabawny, moja droga - dodała.

Gdy Sara już spała, zadzwonił telefon. Był to George, starszy brat Jane, zaniepokojony zniknięciem babki. Gdy Jane krótko zrelacjonowała mu przebieg wypadków, zdziwił się:

- I nie zatelefonowałaś do Andrew?

- Nie pozwoliła mi.

- Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że Sara... zachowuje się co najmniej dziwnie?

Jane myślała dokładnie to samo, ale głośno wypowiedziane słowa rozzłościły ją.

- George, nie można sugerować, że Sara traci rozum tylko dlatego, że miała dość wysłuchiwania anegdotki o króliku!

- W takim razie sam do niego zadzwonię - oświadczył, ignorując oburzenie siostry.

- Ale powiedz mu, żeby tu nie przyjeżdżał - wtrąciła pośpiesznie Jane. - Sara potrzebuje czasu. - Odkładając słuchawkę, zastanawiała się, dlaczego dopiero teraz zauważyła, że George jest taki pompatyczny...

Przyjazd tutaj był ostatnią rzeczą, o której myślał Andrew. Zatelefonował kwadrans później i spytał:

- Jak ona się czuje?

- Doskonale - odpowiedziała Jane.

- To dobrze. - I odłożył słuchawkę.

Po chwili zadzwonił znów.

- Nie będę z nią rozmawiał - poinformował bez wstępów.

- Ona też nie chce z tobą rozmawiać - odparła nieco rozdrażnionym tonem Jane.

- Nie będę z nią rozmawiał - powtórzył. - Możesz jej to przekazać.

- Niczego nie mogę jej teraz przekazać. Ona śpi.

- Śpi? Jak może spać, gdy nasze małżeństwo rozpada się w gruzy?

Zawsze twierdziłem, że kobiety nie mają serca. - I ponownie odłożył słuchawkę.

Telefon dzwonił jeszcze wiele razy. Wiadomość, że Sara przebywa u Jane rozeszła się po rodzinie lotem błyskawicy i każdy pragnął osobiście wtrącić swoje trzy grosze i udzielić Jane rady. Dopiero około drugiej w nocy Jane wyłączyła telefon i poszła do łóżka. Żałowała, że nie może porozmawiać teraz z Gilem. Miała wrażenie, że tylko on mógłby spojrzeć na tę sprawę z nieco innej perspektywy.

Zaspała, a gdy się obudziła, Sara kompletnie ubrana stała przy jej łóżku z filiżanką herbaty w ręce. Z kuchni dochodziły smakowite zapachy śniadania.

- Andrew dzwonił wczoraj wieczorem - poinformowała zaspanym głosem.

- Nie zamierzam z nim rozmawiać - szybko odpowiedziała Sara.

- Nie martw się, on też nie ma takiego zamiaru - odparła Jane, zastanawiając się, czy przypadkiem nie obudziła się w przedszkolu.

Przy śniadaniu Sara oznajmiła:

- Jadę dziś do Londynu. Muszę kupić sobie coś do ubrania.

- Londyn jest taki męczący. - Jane usiłowała odwieść babkę od tego pomysłu. - Czy nie byłoby lepiej...

- Nie - ucięła Sara stanowczo. - Mam siedemdziesiąt lat, a nie sto siedemdziesiąt.

- Ale w Wellhampton są takie urocze sklepy - nie dawała za wygraną Jane.

- Moja droga, przez pięćdziesiąt lat musiałam znosić jednego starego nudziarza. Nie mów mi, że trafiłam pod dach następnego!

- Nudziarz? - Jane zająknęła się z oburzenia. - Masz na myśli mnie?

- Jeśli nie zaczniesz na siebie uważać, zestarzejesz się za młodu - ostrzegła ją życzliwie babka.

Jane z przerażeniem stwierdziła, że opinia babki pokrywała się z tą, którą wyraził Gil podczas ich pierwszego spotkania.

- Powaga i zasady... to cecha naszej rodziny - powtórzyła jak echo Jane.

- I któż to stale powtarza? Twój dziadek! - rzuciła triumfalnie Sara. - Nie obwiniaj więc mnie.

Gdy Jane, po odwiezieniu babki na dworzec, pojawiła się w banku, od razu zatelefonowała do Andrew. Dziadkowie od dziesięciu lat zajmowali wygodny dom nad brzegiem rzeki.

- Kupiłem łódkę - oświadczył Andrew z egzaltowaną radością w głosie. - Ładną, małą motorówkę. Zawsze o takiej marzyłem.

- Nie wiedziałam.

- Och, jest mnóstwo rzeczy, o których przez lata marzyłem i teraz, gdy jestem wolny, mogę je wreszcie zrealizować.

- Czy nie jest to dla ciebie zbyt wyczerpujący sport?

- Wcale nie zamierzam pływać! - Andrew radośnie zachichotał. - Mam zamiar przyjmować na niej młode kobiety.

- Sara pewnie będzie miała coś na ten temat do powiedzenia - zażartowała Jane.

- Ona już nie ma nic do powiedzenia! Sama zakończyła nasze małżeństwo. Zresztą to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek uczyniła. Teraz będę cieszyć się życiem! Wino, kobiety i śpiew... I nikt nie będzie mnie pouczać. Co za radość! Doskonale sobie bez niej poradzę. A jak tam ona, dobrze się czuje?

- Świetnie. Też ma zamiar cieszyć się życiem.

- Nic mnie to nie obchodzi - przerwał gwałtownie. - Nie wymawiaj jej imienia w mojej obecności!

- Dobrze, nie będę - zgodziła się Jane z westchnieniem.

- Zobaczysz, że wróci do mnie biegiem - kontynuował. - Założę się, że stoi przy telefonie i czeka, aż do niej zadzwonię.

- Wcale nie. Pojechała do Londynu po zakupy.

- Powiedziałem ci przecież, że mnie to nie interesuje! - burknął gniewnie.

- Skoro tylko tyle masz mi do powiedzenia, rozłączam się. Muszę zabawić gości. - I natychmiast odłożył słuchawkę.

Wieczorem Jane pojechała na spotkanie z Gilem. Odczuła radosną ulgę, widząc jego wóz kempingowy zaparkowany pod drzewami.

Ledwie zdążyła zapukać do drzwi, wysunął rękę i wciągnął ją do środka. Po chwili była w jego ramionach.

- Bałem się, że nie przyjedziesz - wyszeptał prosto w jej usta. - Zobacz tylko, co przygotowałem...

Westchnęła na widok elegancko nakrytego stołu na dwie osoby. Widać było, że ogromnie się starał.

- Och, Gil, tak mi przykro, ale nie mogę zostać... - powiedziała skruszona. - Moja babcia czeka na mnie w domu z kolacją. Zjawiała się u mnie wczoraj z wiadomością, że opuściła dziadka. Wyobraź sobie, po pięćdziesięciu latach małżeństwa! Cała rodzina jest w szoku. Właśnie przygotowaliśmy przyjęcie z okazji rocznicy ich ślubu. A teraz taki ambaras! Ona pojechała kupić sobie nowe ciuchy w Londynie, a on właśnie kupił sobie motorówkę, aby przyjmować na niej młode dziewczyny.

- Daj spokój, mówisz bez sensu - uspokajał ją Gil.

- Bo to nie ma sensu - odparła z irytacją. - Zachowują się jak dzieci. On nie chce z nią rozmawiać, ona z nim... Sara twierdzi, że jeśli jeszcze raz usłyszy jego ulubioną anegdotkę o króliku, to wyskoczy przez okno!

- Ona już mi się spodobała! - rzucił wesoło Gil. - Fajna kobieta.

- Jest naprawdę kochana. Teraz muszę się nią zająć.

- Czy to oznacza, że nie będziemy się widywać? - spytał z niepokojem w głosie.

Gdyby Sara poznała Gila, z pewnością doznałaby szoku...

Nagle przyszedł Jane do głowy ciekawy pomysł. Jeśli Sara nie zaaprobuje Gila, być może, żeby to okazać, zacznie zachowywać się normalnie!

- Myślę, że powinieneś pojechać ze mną na kolację - powiedziała ostrożnie. - Sara zwykle gotuje na dziesięć osób.

- Czyżbyś chciała mnie wykorzystać...? - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła z ożywieniem. - Chodzi mi tylko o to...

- Zająknęła się, nie bardzo wiedząc, jak ogłędnie wytłumaczyć Gilowi, na czym ma polegać jego rola.

- Czyżby na mój widok miała doznać wstrząsu i zawrócić ze złej drogi wprost w ramiona statecznego, zasadniczego dziadka? - Najwyraźniej czytał w jej myślach.

- Niezupełnie... - powiedziała zakłopotana.

- Kochanie, mógłbym się cudownie bawić, obserwując, jak się płaczesz w zeznaniach, ale ci tego oszczędzę. - Roześmiał się głośno. - Nie przeszkadza mi, że zagram rolę... stracha na wróble. Ale czy jestem wystarczająco odpychający?

- Szkoda, że właśnie dziś się ogoliłeś - powiedziała, przyglądając mu się krytycznie, ale w jej oczach igrały wesołe iskierki.

- Zrobiłem to specjalnie dla ciebie - poskarżył się. - Naprawdę trudno kobietom dogodzić. Powiedz mi tylko, jak mam się zachowywać? Mam być pijany i niegrzeczny?

- Wystarczy, jak będziesz sobą - odparowała.

- Jesteś pewna, że ją wystraszę? - rzucił wesoło.

Przed wyjściem zabrał ze sobą butelkę wina.

Jane zadzwoniła z telefonu w samochodzie do Sary, informując, że przywozi na kolację gościa.

- Jak zareagowała? - zaciekawił się Gil.

- Wyczułam w jej tonie podejrzany entuzjazm. Ciekawa jestem, jaką nową niespodziankę mi przygotowała...

- Nie bądź wobec niej taka krytyczna - wtrącił Gil. - Ostatecznie, ma wystarczająco dużo lat, żeby robić to, co chce.

- Stale mi to samo powtarza... - przyznała Jane.

- Chodzi mi o to, że nie powinnaś jej zmuszać, by to powtarzała - powiedział, po czym poprosił, by zatrzymała wóz. Po chwili wrócił z bukietem kwiatów. - To dla gospodyni - wytłumaczył z uśmiechem.

- Podlizuch - oskarżyła go Jane.

- To pierwsza zasada szkoły przetrwania Gila Wakehama - wyjaśnił. - Gdy jest się pod ostrzałem, trzeba paść na twarz. A prócz tego wypada, składając pierwszą wizytę, obdarzyć gospodynię kwiatami i uświetnić kolację butelką dobrego wina.

- Owszem - zgodziła się z westchnieniem. - Tym samym jednak zniszczysz swój wizerunek.

- Wcale nie. Na pewno wyjdę na obwiesia, który kradnie kwiaty z cudzego ogrodu.

- Czy ty możesz być przez chwilę poważny? - spytała zirytowana.

- Po co?

- Och, nie wiem. Znałam tysiące powodów, dla których warto być poważnym i nagle nie pamiętam żadnego z nich.

- Wspaniale! - ucieszył się. - Robisz postępy.

Gdy weszli do windy, obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Był ubrany tak jak pierwszego dnia - w czarne, skórzane spodnie i czarny podkoszulek, który ciasno opinał klatkę piersiową.

- No i co, może być? - spytał, rozszyfrowując jej spojrzenie.

Na widok demonicznego błysku w jego oczach przeszył ją rozkoszny dreszcz.

- Masz zbyt porządnie uczesane włosy - skwitowała.

Natychmiast zmierzwił je ręką. W tym uczesaniu wygląda jeszcze bardziej atrakcyjnie, pomyślała Jane. Całe szczęście, że Sara tego nie doceni...

Gdy otworzyła drzwi do mieszkania, podrażnił ich nozdrza smakowity zapach.

- Jesteśmy już! - zaanonsowała się Jane.

Z kuchni wyłoniła się jakaś obca kobieta. Jane już chciała spytać, kim jest... I nagle zdała sobie sprawę, że to jej własna babka!

Zamiast prostych siwych włosów, Sara miała dziś pięknie obcięte i wymodelowane miodowe fale, na sobie zaś elegancką granatowo-białą sukienkę o modnym, wyszczuplającym kroju, a w uszach srebrne klipsy. Twarz jej nosiła ślady dyskretnego makijażu.

- Sara...? - Jane oniemiała ze zdumienia.

- Podobam ci się? - Sara obróciła się wokół, aby zademonstrować suknię.

Gdy Jane zastanawiała się, co powiedzieć, Gil przeciągle zagwizdał.

Sara odwróciła się doń z uśmiechem na ustach.

- Gil, nieprawdaż? Cieszę się, że mogę pana poznać.

- Ja również - odpowiedział Gil i z szarmanckim ukłonem wręczył Sarze bukiet kwiatów i butelkę wina.

- Och, jakże uroczy gest! - zachwyciła się gospodyni. - Już bardzo dawno nie dostałam kwiatów od mężczyzny.

Gdy pospiesznie odeszła, by włożyć kwiaty do wazonu, Jane szepnęła:

- Co ty wyprawiasz? W ten sposób nigdy jej nie zgorszysz!

- Myślałem, że wystarczy moja powierzchowność...

- Wątpię, by w ogóle zwróciła na nią uwagę.

- Siadajcie do stołu - zawołała Sara. - Umieram z głodu, a wy pewnie też.

- Opowiadałam Gilowi, jaką jesteś znakomitą kucharką - wtrąciła Jane.

- Dziś, niestety, nie miałam czasu na coś naprawdę wykwintnego -

oświadczyła babka. - Przygotowałam tylko kielbaski z kartoflami puree.

Uwielbiam to danie, ale ponieważ twój dziadek go nie znosi, zawsze musiałam sobie odmawiać.

- Ja też uwielbiam kielbaski! - wtrącił uprzejmie Gil.

- Wypadasz z roli - narzekła Jane, gdy Sara wyszła do kuchni.

- Przepraszam, kochanie, ale nie mam zamiaru udawać, że nie lubię kartofli i kielbasek - rzekł stanowczo.

Jane po chwili wyszła do kuchni, aby pomóc babce.

- Jak udało ci się tak szybko schudnąć? - szepnęła jej do ucha. - Chyba nie uprawiasz aerobiku?

- Mówisz jak stara ciotka - ofuknęła ją Sara. - Kupiłam doskonały gorset.

- Nigdy nie nosiłaś gorsetów! - Jane wyglądała na wstrząśniętą.

- Andrew nie lubił, gdy się stroiłam. Uważał, że ubranie powinno być czyste i funkcjonalne. Dostałby szoku, gdyby to zobaczył. - Uniosła rąbek spódnicy i pokazała czarną, koronkową halkę.

- Śliczna! - Jane wyraziła szczerzy zachwyt. - Przepraszam cię za strój Gila - podjęła desperacką próbę ratowania sytuacji.

- Nie wiedział, że zostanie zaproszony...

- A cóż jest złego w jego stroju? - zdziwiła się Sara.

- Myślałam, że na twój gust będzie zbyt ekstrawagancki...

- Moja droga, taki uroczy młodzieniec jak on może nosić, co mu się podoba. A teraz przynieś koszyczek do chleba...

Danie zaserwowane przez Sarę byłoby wstrząsem dla kogoś dbającego o linię. Ale potrawa była bardzo dobra, a w połączeniu z winem - wyśmienita.

- Jak się poznaliście? - spytała uprzejmie Sara, gdy Gil rozlewał wino do kieliszków.

- Przyszedłem do Banku Kellsa z prośbą o kredyt - wyjaśnił. - Oczywiście, Jane odmówiła.

- Dlaczego?

- Och, babciu, spójrz tylko, jak on wygląda! - powiedziała Jane wymownym tonem.

- Chyba nie przywiązuję wystarczającej wagi do stroju - westchnął skruszony Gil. - Ale życie jest takie krótkie - dodał filozoficznie.

- Oczywiście, ma pan świętą rację - przytaknęła Sara.

- Przyzwoite ubranie często jest bardzo ważne - wtrąciła Jane.

- Nie tak często, jak myślisz - powiedziała Sara. - Ale, oczywiście, gdy ktoś mieszka w banku, nabiera specyficznych gustów.

- Wcale nie mieszkam w banku! - obruszyła się Jane.

- Doprawdy, kochanie? - Babka spojrzała na nią z lekką ironią w oczach, po czym zwróciła się do Gila: - Mam nadzieję, że opowie mi pan trochę o sobie. Jestem pewna, że ma pan pasjonującą pracę, czyż nie?

- Puszczam fajerwerki - powiedział. - Jeżdżę po kraju i organizuję pokazy sztucznych ogni.

- Ależ to podniecające!

- Oczywiście, to nietypowy sposób na życie - dodał szybko Gil pod presją lodowatego spojrzenia Jane. - Brak stałego miejsca zamieszkania, tylko przyczepa kempingowa...

- Ależ to cudowne! - Sara wyglądała na zachwyconą. - Codziennie inne miejsce, zmieniający się horyzont, nowi ludzie...

- To prawda - przyznał Gil. - Nie mogę znieść przebywania w jednym miejscu zbyt długo.

- Ale w życiu liczą się również inne wartości. - Jane próbowała skierować konwersację na właściwe tory. - Korzenie, więzy rodzinne...

- Więzy rodzinne tylko ograniczają człowieka - powiedział Gil. - Potrzebuję wolności! Potrzebuję wolnej drogi!

- I braku odpowiedzialności - dodała Jane zgryźliwie.

- Jestem pewna, że Gil ma poczucie odpowiedzialności - wtrąciła się Sara.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Życie przede wszystkim powinno być zabawne, zawsze tak twierdzą. Rodzina jest w porządku, ale czasami przytłacza człowieka. Wszyscy krewni usiłują ci dobrze radzić. Komu to potrzebne?

- Nikomu - zgodziła się Sara skwapliwie. - Nie jesteś żonaty, prawda?

- Zbyt szybko biegam - roześmiał się Gil.

- Jestem przekonana, że ściga cię mnóstwo młodych kobiet - powiedziała Sara.

- Nawet nie jestem w stanie ich zliczyć - zapewnił, śmiejąc się serdecznie. - Uważam, że to dobrze, bo przynajmniej utrzymuję się w formie.

- Ale Jane jest na czele? - Sara pochyliła się ku niemu, zadając to pytanie konspiracyjnym szeptem.

- Chwilowo tak. - Gil zasepił się nagle. - Ale kto wie, co przyniesie jutro?

- Za chwilę dostaniesz kopniaka w łydkę - powiedziała Jane z oburzeniem.

Sara i Gil spojrzeli na siebie i wybuchnęli gromkim śmiechem. Byli w zadziwiającej komitywie.

- Przepraszam - powiedziała Sara, poklepując Jane po ręce - ale chyba nie sądziłaś, że dam się nabrać?

- Obawiam się, że nie poszło mi zbyt dobrze - westchnął skruszony Gil. - Ale naprawdę mieszkam w przyczepie i organizuję pokazy sztucznych ogni - dodał tonem usprawiedliwienia. - Żadnego majątku. Brak bezpieczeństwa. Same długi. Proszę spytać Jane.

Sara popatrzyła ze wzruszeniem na wnuczkę.

- O nic nie będę pytać kochanej Jane. Wie wszystko o liczbach, ale nic o ludziach.

- Naprawdę tak sądzisz? - zdziwiła się Jane.

- Tak, kochanie. Zamiast straszyć mnie Gilem, powinnaś mi opowiedzieć, jaki jest przystojny i uroczy.

- Nareszcie znalazła się kobieta, która mnie docenia - westchnął Gil, posyłając Jane złośliwe spojrzenie.

Jane przez chwilę walczyła, aby zachować poważny wyraz twarzy, ale jej się to nie udało i niebawem cała trójka wybuchła gromkim śmiechem.

Gdy zjedli deser, Sara z oczami błyszczącymi jak dziecko wysłuchiwała opowieści, jak Jane i Gil spędzili swój pierwszy wspólny wieczór w wesołym miasteczku, a potem jeszcze bardziej zajmującej relacji z wydarzeń dnia następnego, kiedy to Jane pomagała Gilowi przygotować pokaz i pożyczyła mu pieniądze.

- Naprawdę jestem skończonym łotrem - skomentował Gil, podejmując ostatnią próbę zrobienia na Sarze złego wrażenia. - W ciągu jednego wieczoru pozbawiłem Jane całych jej oszczędności.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam - zgodziła się Jane. - Nie wstyd ci za mnie, babciu?

- Wprost przeciwnie, kochanie. Cieszę się, że stać cię na spontaniczny gest.

- Właściwie troszeczkę przesadziłem - pospieszył z wyjaśnieniem Gil. - Na następne kilka tygodni mam serię zamówień. Wszystko gdzieś zapisałem...

- Zaczął przeszukiwać kieszenie. - O, proszę! - Wyjął zwitek papieru i przeczytał: - Ślub, urodziny, pokaz z łódki na morzu... jeden słoik marynat... Do licha, to co innego! Gdzieś tu jeszcze mam kilka kartek...

Jane przejrzała długą listę miejscowości, ale żadna z nich nie była opatrzona datą.

- Ty to wszystko pamiętasz? - spytała z podziwem.

- Gdy przyjdzie pora, z pewnością sobie przypomnę - odparł niedbale.

Przez resztę posiłku Jane cieszyła się widokiem Gila i Sary, szczęśliwych, uśmiechniętych i wymieniających grzeczności.

Wypili kawę, a gdy mieli ochotę na następną, Gil zaoferował się, że sam ją zaparzy.

- Doprawdy, tajemniczy mężczyzna - szepnęła wówczas Sara, dopijając swoje wino.

- Tajemniczy? - zdziwiła się Jane.

- To wino jest pierwsza klasa... Wygląda jak młody gniewny, ale ma bardzo wyszukane maniery. Zastanawiam się tylko, gdzie je nabył?

Gil wrócił, nim Jane zdążyła odpowiedzieć. Rozlał kawę z taką wprawą, jakby całe życie był kelnerem. Minęło jeszcze wesołe pół godziny, gdy w końcu wstał, żeby się pożegnać.

- Na mnie już czas - powiedział. - Miło mi było, pani Landers...

- Saro.

- Saro, od lat nie spędziłem tak miłego wieczoru.
- Przychodź, kiedy tylko zechcesz - zachęciła go babka Jane.
- Odwiozę Gila - poinformowała Jane. - Zaraz wracam.

Gil przez całą drogę mówił o Sarze.

- Co za kobieta! Fantastyczna! To prawdziwe szczęście mieć taką wspaniałą babcię.

- Ona też cię polubiła - zapewniła go Jane z lekkim uśmiechem.
- Przepraszam, że nie trzymałem się roli...
- Nieważne. To był uroczy wieczór.

Gdy zatrzymała się obok przyczepy kempingowej, Gil pochylił ku niej głowę; oczy błyszczały mu niespokojnie.

- Czas się pożegnać - szepnął.
- Tak - westchnęła z ociąganiem.
- Wyjeżdżam jutro z samego rana. Wrócę tak szybko, jak będę mógł, ale i tak potrwa to z tydzień...

- A może otwarta droga tak cię pociągnie, że w ogóle nie wrócisz? - Starła się, aby jej głos zabrzmiał zwyczajnie, ale była naprawdę poruszona myślą, że mogłaby go już nigdy nie spotkać.

Gil delikatnie wsunął dłoń pod jej brodę i uniósł twarz.

- Wrócę - powiedział cicho. - Nieważne, jak daleko zajadę, zawsze do ciebie wrócę. - Dotknął wargami jej ust.

Jedyną odpowiedzią, na jaką mogła się zdobyć, było oddanie mu gorącego pocałunku. Och, czyżby naprawdę zakochała się w Gilu? To byłoby czyste szaleństwo! Kompletny brak przezorności! Ale nic nie mogła na to poradzić... Pod wpływem jego zachłannych pocałunków serce jej topniało; czuła twarde mięśnie mężczyzny tuż przy swoim ciele i gorąca fala namiętności ogarnęła ją z wolna, nakazując zapomnieć o czasie i

okolicznościach. Myśl o rozdzieleniu się z nim choćby na chwilę stawała się nie do zniesienia...

To on opamiętał się pierwszy.

- Lepiej jedź już do domu - powiedział ochryple. - Tu robi się niebezpiecznie.

- Kocham niebezpieczeństwo! - odparła zuchwale.

- Wiem. - Pogłodził ją po twarzy. - Ale jeszcze do niego nie przywykłaś. Wsiądę już, póki jeszcze starcza mi sił... Ale wkrótce wrócę!

Przyglądała mu się, jak podchodził do swego pojazdu. Pomachał jej ręką na pożegnanie. Zrobiła to samo, po czym wolno odjechała, czując rozdzierający ból w sercu.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Tydzień bez Gila dłużył się Jane w nieskończoność. Świat zwykle pełen jaskrawych barw nagle pobrał i zszarzał.

Sara natomiast cieszyła się życiem jak dożywotni więzień, którego ułaskawiono. Uczęszczała na kurs kosmetyczny do salonu piękności i z radosną beztroską wydawała pieniądze na nowe stroje. Jane ze zdziwieniem zauważyła, że jej babka była nadal atrakcyjną kobietą i powoli zaczynała rozumieć impuls, który skłonił ją do ucieczki z domu.

Andrew dzwonił raz po raz, coraz bardziej zaniepokojony rachunkami, jakie zaczynały doń napływać.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że twoja babka wydaje pieniądze w takim tempie, jakby miała nie dożyć jutra? Fryzjerzy, kosmetyczki, ubrania... Niedługo naruszy limit mojej karty kredytowej!

- Wtedy przestanie wydawać - odparła Jane ze stoickim spokojem.

- Przecież nigdy nie brakowało jej pieniędzy! - złościł się. - Znam swoje obowiązki wobec żony, nawet jeśli ona zapomina o swoich. Możesz jej przekazać, że wpłaciłem kolejne tysiąc funtów... Jestem pewien, że je wyda podczas następnego szaleństwa zakupów.

- Dlaczego sam jej tego nie oznajmisz?

- Nie będę z nią rozmawiał! - burknął i odłożył słuchawkę.

- Znów masz pieniądze - powiedziała Jane do Sary. - Andrew wpłacił tysiąc funtów.

- To świetnie! Będę mogła kupić sobie nowy płaszcz.

Sara skontaktowała się ze wszystkimi przyjaciółmi i wkrótce otrzymała mnóstwo zaproszeń. Życie Jane biegło o wiele mniej interesująco.

- Co ci jest, kochanie? - spytała życzliwie Sara pewnego dnia przy śniadaniu, widząc, jak Jane krzywi się po przeczytaniu listu.

- To w sprawie mojego urlopu - odpowiedziała Jane. - Z zeszłego roku zostały mi dwa tygodnie, więc jeśli nie wykorzystam ich do czerwca, stracę je bezpowrotnie.

- To je wykorzystaj - poradziła jej babka.

- Ale co ja będę robić? W tym roku też mam dwa tygodnie i chyba z nich również zrezygnuję.

- Tylko nie zaczynaj rezygnować z urlopów! - ostrzegła ją Sara. - Nieraz już widziałam, do czego to prowadzi! Weź lepiej cały miesiąc i baw się dobrze! Nadgorliwość to przekleństwo naszej rodziny. Nie zostań jej kolejną ofiarą!

Jeszcze kilka dni temu, usłyszawszy tak nieprawdopodobne oświadczenie w ustach babki, Jane doznałaby szoku. Ale powoli przyzwyczajała się już do nowego wizerunku Sary, bez komentarza więc odłożyła list na bok i wróciła do śniadania.

W banku miała zły dzień. Na biurku piętrzyła się góra papierów. Jakże mogła pomyśleć o wzięciu dwóch tygodni urlopu - nie mówiąc już o czterech! Gdy o ósmej wieczorem wróciła do domu, babki jeszcze nie było. Na stole leżała karteczka: „Jeśli zadzwoni twój dziadek, powiedz mu, że wyszłam do miasta z moim chłopakiem”.

Jane bez trudu odgadła, kim był ów „chłopak”. Gil wrócił! Serce jej podskoczyło, ale zaraz zamarło. Wrócił, ale wcale na nią nie czekał!

Nie chciała się do tego przyznać, ale była lekko poirytowana.

Zjadła w samotności omlet, popijając go wodą mineralną, a potem zasiadła do pisania raportu dla swoich zwierzchników. Jednak przez cały czas

błądziła myślami po mieście, gdzie dwoje bliskich jej sercu ludzi bawiło się w najlepsze... Wrócili dopiero po północy.

- Nie śpisz, kochanie? - spytała Sara z troską w głosie. - Powinnaś dużo spać, to dobrze robi na urodę.

- Ty też powinnaś - odcięła się Jane z urazą. - Jak myślisz, która jest godzina?

- Trzydzieści minut po północy - podpowiedział natychmiast Gil. - A według ciebie, Sal?

- Trzydzieści jeden, ale pozostajmy przy własnych zdaniach.

Śmiejąc się, uścisnęli sobie ręce. Jane patrzyła na nich zrozpaczona. Do tej zauroczonej sobą pary nie miała najwyraźniej dostępu...

- Spędziliśmy cudowny wieczór - oznajmiła Sara. - Gil pokazał mi swój uroczy dom...

- A Sal ugotowała mi najlepszą kolację, jaką jadłem w życiu - uzupełnił Gil.

- Mogę spytać, kto to jest Sal? - spytała urażona Jane, patrząc nań zimnym wzrokiem.

- Ależ to ja we własnej osobie! - oświadczyła Sara. - Zdecydowaliśmy, że to imię lepiej pasuje do mojej nowej osobowości.

- Najbardziej uroczej dziewczyny w mieście - wyjaśnił Gil, otaczając Sarę ramieniem.

- Powinniście się wstydzić - powiedziała Jane, nadając głosowi surowy ton.

- O, tak, jesteśmy ogromnie zawstydzeni - odpowiedział natychmiast Gil.

- Nieprawdaż, Sal?

- Mów za siebie - zgromiła go Sara. - Mnie wcale nie jest wstyd.

Bawiłam się bosko! - Sara wyglądała na euforycznie szczęśliwą, Oczy jej

lśniły, a w rękach trzymała ogromny bukiet róż. - Wstawię kwiaty do wazonu - zakomunikowała i odeszła pospiesznie, pozostawiając Jane patrzącą na Gila wzrokiem surowym i pełnym niedowierzania.

Ze wszystkich sił starała się wyglądać poważnie, ale błyski złośliwego humoru w oczach Gila sprawiły, że wreszcie poddała się i obydwójce wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Tęskniłaś za mną? - spytał.

- Ani trochę.

- A to szkoda, bo ja tęskniłem za tobą przez cały czas. Nocą i dniem. Ale szczególnie nocą... - Westchnął głęboko. - Ale skoro ty nie podzielasz moich uczuć...

- Gil, przestań! To niesprawiedliwe,

- Cóż ma z tym wspólnego sprawiedliwość?

- Odmawiam odpowiedzi. Och, chcesz mnie wciągnąć w pułapkę...

Gil nic nie powiedział, uśmiechnął się tylko tajemniczo, a serce Jane waliło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Po chwili Sara wróciła z wazonem pełnym róż. Postawiła go na stole i westchnęła przesadnie:

- Och, jakże jestem zmęczona! Chyba pójdę prosto do łóżka. Dobranoc.

Nie odrywając od siebie oczu, powiedzieli jej dobranoc, i w tym samym momencie padli sobie w ramiona. Pocałunek Jane wyrażał cały ból z powodu tęsknoty, a reakcja Gila świadczyła, że czuł to samo. Wraz z powrotem czarodzieja światem znów zawładnęła magia. Pokój zniknął i znaleźli się pod ciemnym, atłasowym niebem rozświetlonym gwiazdami, które obracając się, zataczały coraz szersze świetliste kręgi, a wokół strzelały w górę race we wszystkich kolorach tęczy. Niebiosa pełne były światła i radości.

Ale w zadziwiający sposób, mimo że trwało zauroczenie, mocny uścisk ramion Gila dawał jej nie znane dotąd poczucie bezpieczeństwa. Miała wrażenie, że trafiła do miejsca swego przeznaczenia - do upragnionego domu, mimo że wyglądał on całkiem inaczej, niż sobie wyobrażała.

- Poddaję się - powiedziała, z ociąganiem odrywając się od jego ust. - Przyznaję, że bardzo za tobą tęskniłam.

- I będzie jeszcze gorzej, Jane, ponieważ wyjeżdżam na kilka tygodni na północ kraju i nie będę mógł wracać między pokazami. - Przytulił ją mocniej do piersi i powiedział gorączkowo: - Pojedź ze mną, Jane.

- Ależ ja...

- Przecież możesz wziąć kilka tygodni urlopu. Sara mi o tym powiedziała. Możemy spędzić ten czas razem, tylko we dwoje, jeżdżąc po kraju i organizując pokazy.

- Och, przestań - błagała. - To brzmi cudownie, ale przecież nie mogę pozostawić teraz Sary...

- To był jej pomysł - wtrącił.

- Owszem, namawiała mnie, bym wykorzystała urlop, ale nie sądziłam, że zaproponuje mi miesiąc cygańskiego życia... Jesteś pewien, że ją dobrze zrozumiałeś?

- Obawiam się, że to jej rodzina źle ją rozumiała przez wszystkie minione lata - powiedział poważnym tonem. - Być może nie myśli wyłącznie o tobie... Może chce pomieszkać tu całkiem sama i na własny sposób cieszyć się życiem?

- Ale co ona będzie robić, gdy ja wyjadę...?

- Jane, zrozum, to nie jest twoja sprawa. Przestań być rzeczniczką rodziny i pozwól jej się bawić.

- Mam wrażenie, że powinnam ją namawiać do powrotu do Andrew. Tam jest jej miejsce...

- Daj spokój, Jane. Być może ona nigdy do niego nie wróci. Nie pomyślałaś o tym?

- Och, to niemożliwe... W głębi serca ona go kocha!

- Tak sądzisz? A co z tym drugim facetem?

- Jakim facetem? - Jane wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem.

- Chyba nie sugerujesz, że moja babka miała romans?

- Może wydarzyło się to, nim wyszła za mąż? Nie wiem... Ale pewien jestem, że ktoś był.

- Gil, co Sara ci powiedziała?

- O swoim małżeństwie wyrażała się dość pozytywnie, ale wyczułem, że istnieje coś... lub ktoś... Nie powiedziała mi wprost, że kochała innego mężczyznę, ale mogę przysiąc, że był ktoś, kto zawładnął jej sercem w o wiele większym stopniu niż kiedykolwiek Andrew. Może się mylę, może puszczam wodze fantazji? Nie wiem...

Ale Jane utraciła dawną pewność. Nagle zdała sobie sprawę, że właściwie nic nie wie o Sarze... Być może Gil, jako postronny obserwator, zauważył o wiele więcej.

- Pójdę już - powiedział. - Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu... Postaraj się pojechać ze mną... - Pocałował ją lekko i już go nie było.

Gdy okazało się, że Sara nie śpi, Jane weszła na chwilę do jej pokoju.

- Och, jestem zbyt podekscytowana, by usnąć! - powiedziała Sara. - Bawiłam się cudownie! Masz dużo szczęścia. On jest uroczym mężczyzną. Traktował mnie jak młodą dziewczynę! Oczywiście, domyślałam się, że chciał porozmawiać o tobie... Ale, tak czy owak, był porywający! - Uniosła lekko

brwi. - Widzisz, kochanie, są pewne sprawy, które się wyczuwa nawet w moim wieku...

- Powiedz mi coś o tym - poprosiła z figlarnym uśmiechem Jane.

- Chodzi o to magiczne „coś”, które mają w sobie niektórzy mężczyźni.

To się wyczuwa, nawet jeśli rozmawiają o cenie ryby... Oczywiście - dodała z ponurą miną - niektórzy tego nie mają i nigdy nie będą mieli. Niestety, zazwyczaj za tych wychodzimy za mąż.

- Gil powiedział, że w twoim życiu był kiedyś pewien mężczyzna... - podjęła ostrożnie Jane.

- Och, to oczywiste, że się domyślił! On widzi wszystko... - W głosie Sary pojawił się cień zadumy. - Był w moim życiu ktoś, nim wyszłam za mąż za Andrew... Był aktorem. Kiedyś ja także chciałam zostać aktorką.

- Nic o tym nie wiedziałam! - zawołała Jane.

Ale przecież Tony, jej rodzony brat, który zaszokował kiedyś rodzinę, próbując zostać aktorem, był Sary wnukiem!

- To było całe wieki temu - ciągnęła Sara. - Rodzice pozwolili mi grać w amatorskim teatrze. Tam właśnie go poznałam. - Oczy jej wyraźnie pojaśniały. - Chcieliśmy razem uciec i zostać zawodowymi aktorami. Och, wówczas wydawało się to możliwe... Ale później... - Westchnęła, jakby powracając na ziemię. - Rodzice zmusili mnie, bym z nim zerwała. Twierdzili, że jest nieodpowiedni. Wyjechał i nigdy więcej o nim nie słyszałam. Potem poślubiłam twego dziadka. Andrew pracował w banku i był jak najbardziej odpowiednim kandydatem.

- Bardzo kochałaś tamtego mężczyznę?

- Bezgranicznie - powiedziała cicho Sara. - Był dla mnie niczym złoty deszcz i kolorowe światła na niebie. - Uśmiechnęła się z tęsknotą. - Ale musiałam go porzucić i zgodnie z wolą rodziców poślubić tego fajłapę.

- To nieuprzejmie z twojej strony tak się wyrażać o dziadku - wtrąciła Jane.

- Tego fajtlapę - powtórzyła stanowczo Sara. - Zgodnie ze swymi wyobrażeniami był znakomitym mężem. Ciężko pracował, był wierny i na swój sposób, dobry. Ale ja nie potrafiłam zapomnieć o tamtym czarodzieju... Miał zwyczaj obsypywać mnie różami...

- Tak jak Gil? - zauważyła Jane.

- Tak, on rozumie kobiety. Każda powinna dostawać czerwone róże. - Poklepała Jane po ręce. - Wyjedź z nim. Uwierz, że możesz... Jutro poinformuj w pracy, że bierzesz miesiąc urlopu. Spędź go z Gilem! - I dodała gorączkowo: - Skorzystaj z szansy, póki jeszcze czas!

Na drugi dzień Jane zadzwoniła do swego zwierzchnika, aby ustalić dokładny termin urlopu. Sekretarka Henry'ego Morgana - mężczyzny pełnego rezerwy i krytycyzmu, który był przeciwny, by Jane objęła stanowisko dyrektora oddziału - oznajmiła lodowatym głosem, że oddzwoni, gdy szef podejmie decyzję.

Po upływie godziny, gdy telefon milczał jak zaklęty, Jane uznała to za zły omen. Kilka minut później pojawił się w biurze Kenneth.

- Nie byliśmy umówieni - tłumaczył się - ale nie zajmę ci dużo czasu. Moja mama chciałaby zaprosić cię na wakacje...

- To ogromnie miło z jej strony, ale...

- Ona orientuje się w charakterze naszego związku i ma nadzieję, że szybko go sformalizujemy.

- Nie nadażam za tobą, Kenneth - przerwała mu gwałtownie.

- O czym ty mówisz?

- O naszym małżeństwie, oczywiście.

- O czym?! - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Dla mnie to zupełna nowość.

- Och, Jane, z pewnością się domyślałaś... Choć nie padałem przed tobą na kolana, myślałem, że się rozumiemy. Uważam, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Kenneth, nie mogę za ciebie wyjść za mąż - oświadczyła twardo. - Przykro mi, jeśli się źle zrozumieliśmy.

- Nie chciałbym cię popędzać. - Z twarzy Kennetha nie zniknął uśmiech.
- Nie musisz odpowiadać od razu. Chcę, żebyś spędziła trochę czasu u mnie w domu, a sama zobaczysz, jak doskonale tam pasujesz.

- Nie mogę cię poślubić dlatego, że pasuję do twojego domu, Kenneth!

- Och, może niefortunnie się wyraziłem...

- To bez znaczenia. Wyjeżdżam na wakacje z... przyjacielem.

- Z przyjacielem? - Kenneth zacisnął usta.

- Tak. - I pod wpływem nagłego ożywienia dodała: - On podróżuje po całym kraju i organizuje pokazy sztucznych ogni. Wyjeżdżam z nim na miesiąc.

- Czyżbyś postradała rozum? - Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Tak właśnie się stało - potwierdziła bez wahania. - Postradałam rozum i jestem z tego powodu ogromnie szczęśliwa.

- Ależ na twoim stanowisku miesiąc urlopu to wielkie ryzyko! Mam nadzieję, że nie zwróciłaś się jeszcze z tą prośbą do Morgana? Znam go. Wprost nie odmówi, ale przy twoim nazwisku postawi czarny znaczek.

Jane poczuła się nagle tak, jakby uszło z niej powietrze.

- Nie ma to dla mnie znaczenia, Kenneth - zapewniła otwarcie. - I naprawdę nie mogę cię poślubić.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że porzucasz mnie dla tego obieżyświata? Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić wałęsającej się po bezdrożach. Ale muszę już uciekać. Wpadłem tylko na chwilę, żeby przekazać ci wiadomość od mamy. Powiem jej, że tym razem masz inne plany, ale kiedy indziej z pewnością nas odwiedzisz. Do widzenia, kochanie. Aha, i nie zrób fałszywego ruchu, prosząc o czterotygodniowy urlop, dobrze? Nieodwracalnie nadwerężyłabyś swoją reputację.

Wyszedł, nim zdążyła wybuchnąć. Ale po chwili irytacja ustąpiła miejsca rezygnacji. Oczywiście pomysł wakacji z Gilem był zupełnie szalony... Jakże mogła się na to zgodzić? Och, to było tylko marzenie - marzenie nie do zrealizowania, a w wyniku swych nieostrożnych zabiegów będzie miała czarny znaczek przy swoim nazwisku...

Gdy już całkiem zdążyła pogрузić się w rozpacz, zadzwoniła sekretarka z wiadomością, że Henry Morgan wyraził zgodę na jej czterotygodniowy urlop.

Kilka dni później, wynosząc bagaże do przedpokoju, Jane zastanawiała się nad szybkością wydarzeń minionego tygodnia. Gil, dowiedziawszy się, że z nim wyjeżdża, uszczęśliwiony, po prostu chwycił ją w ramiona i podniósł do góry. Sara zaś, wielce podekscytowana, od razu wybrała się po zakupy, aby wnuczkę odpowiednio wyposażyć. Wróciła z kilkoma parami dżinsów, płaszczem przeciwdeszczowym i kaloszami, twierdząc, że właśnie tych rzeczy Jane brakowało.

I wreszcie Jane była gotowa na spotkanie z przygodą. Miała przecucie, że będzie to najważniejsza podróż w jej życiu.

Przyjechał Gil i zabrał na dół część jej bagażu. Jane rozglądała się z niepokojem po mieszkaniu.

- Niczego nie zapomniałaś? - spytała życzliwe Sara, obejmując wnuczkę ramieniem. - Cieszę się, że jedziesz i, pamiętaj, baw się dobrze!

W tej samej chwili rozległ się od drzwi donośny głos:

- Ach, zdążyłem na czas!

- Co tutaj robisz, Kenneth? - zawołała zaskoczona Jane.

- Martwiłem się o ciebie... - odpowiedział zatroskanym tonem. - Dzień dobry, pani Landers.

- Cieszę się, że pana widzę - odrzekła uprzejmie, aczkolwiek niezgodnie z prawdą Sara.

- Pragnę wyrazić moje współczucie z powodu ostatnich tragicznych wydarzeń w pani życiu. Mam nadzieję, że powoli wszystko się dobrze ułoży...

- Tragicznych wydarzeń?! - zdziwiła się Sara. - O czym pan mówi? Bawię się przecież cudownie!

- Dzielna z pani kobieta - powiedział Kenneth z uśmiechem pełnym najwyższego współczucia. - Z drugiej strony jestem spokojniejszy, wiedząc, że Jane ma przy sobie kogoś rozsądnego... Toteż trochę się dziwię, że pozwoliła jej pani na tę nedorzeczną eskapadę.

- Pozwoliłam? Ja ją do tego zachęcałam! - pochwaliła się Sara. - Bardzo lubię Gila.

- Oczywiście, jeśli pani go poznała i akceptuje... - Kenneth nie krył zdziwienia.

- To wspaniały młody człowiek - zachwyciła się Sara.

W ciemnych oczach Gila, który w tym samym momencie pojawił się w drzwiach, zabłyśły złośliwe ogniki. Ale po chwili, gdy niedbale opierał się o framugę, wyglądał jak całkiem inny człowiek.

- No, idziesz, mała, czy mam czekać przez cały dzień? - rzucił zawiadacko, przybierając ton opryszka z przedmieścia.

Kenneth odwrócił się i popatrzył na niego przerażonym wzrokiem. Gil - w obcisłych spodniach, rozchełstanej koszuli i z naszyjnikiem na szyi - w istocie mógł zbulwersować kogoś tak statecznego jak Kenneth.

- Kenneth, to jest właśnie Gil... - bąknęła Jane. - Gil, mój przyjaciel, Kenneth - dodała po chwili.

Gil ostentacyjnie przyjrzał się swoim dłoniom, a potem wytarł je o spodnie, nim wyciągnął rękę do Kennetha.

- To twoja bryka stoi na dole? - spytał. - Ta granatowa?

- Tak, jeżdżę granatowym mercedesem - odpowiedział sztywno Kenneth.

- Niezła maszyna. Chyba nie ma lewych papierów, co?

- Z pewnością nie jest kradziony...

- Ile za niego dałeś, koleś?

Cierpliwość Kennetha się wyczerpała. Odwrócił się do Jane i wymamrotał:

- Miałem o tobie lepsze zdanie. Do widzenia! - rzucił, zamykając za sobą drzwi.

- Gil, kochanie, zachowałeś się bardzo złośliwie - zbeształa go lekko Sara.

- Wiem, ale nie potrafiłem się powstrzymać. On z pewnością kogoś takiego się spodziewał. Gdy więc zareklamowałaś mnie jako uroczonego młodzieńca, musiałem sprostać jego oczekiwaniom.

- Saro, czy jesteś pewna, że dasz sobie radę beze mnie? - wtrąciła Jane z troską w głosie.

- Doskonale dam sobie radę, moja droga - zapewniła Sara. - A teraz zmykajcie już! - zakomenderowała.

Gil stał spokojnie w drzwiach i czekał na Jane, która jeszcze kilka razy upewniała się, czy babka poradzi sobie sama. Wreszcie zniecierpliwiony objął ją ramieniem.

- A to co takiego? - zdziwił się, wyczuwając w kieszeni spodni Jane jakiś twardy przedmiot.

- Telefon komórkowy.

- Och, tylko nie to! - zawołał z udawanym przerażeniem.

- Zostaw go! Nie chcesz chyba rozmawiać z pracownikami banku?

Uważaj, Sal, łap! - Po czym bezceremonialnie rzucił telefon, a Sara zrećźnie go złapała.

- Zabierz ją wreszcie, Gil! - powiedziała z uśmiechem.

Gil posłał jej jeszcze pocałunek, po czym stanowczym gestem zamknął frontowe drzwi.

- Gil, muszę jeszcze sprawdzić... - tłumaczyła się Jane.

- Jeśli o czymś zapomniałaś, to trudno - rzekł stanowczo i poprowadził ją do windy. - Jeżeli natychmiast nie podejmę decyzji, zostaniemy tu do jutra.

Gdy drzwi windy się zamknęły, wziął ją w ramiona. Jane, równie szczęśliwa, objęła go za szyję.

- To nie jest właściwe miejsce do całowania, ale nie marnujmy okazji - wyszeptał prosto w jej usta.

Trwali chwilę w zmysłowym uniesieniu i nie zauważyli nawet, jak otwierają się drzwi. Dopiero głębokie westchnienie Kennetha, stojącego przed windą, przywołało ich do porządku.

- Witaj ponownie, Kenneth - rzucił uprzejmie Gil, wyciągając Jane z windy.

Kenneth w geście najwyższej rozpaczycy chwycił ją za ramię.

- Wróciłem, żeby przemówić ci do rozsądku. Jane, nie jest jeszcze za późno...

- O wiele za późno, Kenneth - powiedziała zdyszana. - Od dawna... Usiłowałam ci to już wcześniej powiedzieć. Żegnaj, Kenneth! Zapomnij o mnie i znajdź sobie kobietę godną ciebie.

Jak urzeczona pozwoliła Gilowi poprowadzić się do samochodu. Kilka minut później byli już w drodze.

- Powinam się chyba wstydzić, Gil... - powiedziała z zadumą. - Ale wcale się nie wstydzę... Och, to będzie cudowna podróż!

- Muszę ci coś wyznać, skarbie - szepnął zakłopotany Gil. - On nazywa się Perry...

Jane instynktownie obejrzała się za siebie i na krótką chwilę utonęła w poważnych, brązowych oczach basset hounda.

- Nigdy nie wspomniałeś, że masz psa - powiedziała oszołomiona.

- Nie byłem pewien, jak zareagujesz. Chyba nie masz uczulenia na psy?

- Pytasz mnie w samą porę! - obruszyła się nieco. - Nie, nie mam alergii na psy. Lubię je. Po prostu mnie zaskoczyłeś. - Popatrzyła znów na psa, na jego muskularne ciało i krótkie nogi. Pysk miał smutny, jakby dręczyły go wszystkie zmartwienia tego świata.

- On jest niezwykle sympatyczny - zapewnił Gil.

Jane ostrożnie wyciągnęła rękę i pogłaskała psa po aksamitnej, brązowej sierści.

- Jak to się stało, że nigdy przedtem go nie zauważyłam? - spytała.

- Mam go od niedawna - odparł niejasno. - Właściwie wcale do mnie nie należy... Och, załóżmy, że teraz jest mój.

Jane nie drażyła tematu, mimo że wyjaśnienia Gila brzmiały cokolwiek tajemniczo.

- Skąd wzięło się jego imię?
- To zdrobnienie od Peryklesa.
- Perykles? - Wybuchnęła szczerym śmiechem. - Nazwałeś psa Perykles?
- Udało mi się przekonać go do zdrobnienia Perry. Obawiam się, że więcej nie zniesie.

W torbie Jane leżącej na tylnym siedzeniu znajdowały się kanapki przygotowane z myślą o lunchu. Perry wkrótce zainteresował się miło pachnącym pakunkiem. Jane wzięła torbę na kolana, ale niewiele to pomogło. Zrezygnowana odpakowała kanapki i poczęstowała mmi Perry'ego. I dopiero wtedy zapanował spokój.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy rozpoczynali podróż, pogoda była brzydka, niebo zasnuwane chmurami... Zaledwie jednak opuścili Wellhampton, wyrzało słońce, zalewając okolicę złotawym, wesołym światłem. Jane odniosła wrażenie, że kryła się w tym obietnica szczęścia, które miało nadejść i poczuła cudowną lekkość w sercu.

- Dziś mamy przed sobą ponad dwieście kilometrów - powiedział Gil. - Przez trzy dni będziemy dawać tam pokazy z okazji wystawy regionalnej. Potem obejrzysz makietę, którą przygotowałem...

- Na komputerze?

- Cóż... - Gil zmieszał się wyraźnie. - Nie kupiłem komputera. Gdy odwiedziłem mojego dostawcę, okazało się, że właśnie otrzymał fajerwerki nowej generacji. Nie masz pojęcia, co za rozmiary i kolory! Będę jednym z pierwszych na świecie, którzy zademonstrują je publiczności. Właściwie nie miałem wyboru... - I szybko dodał: - Nie oszukiwałem cię. Naprawdę

zamierzałem kupić komputer, ale gdy zapłaciłem za nowe rakiety, nie starczyło mi już pieniędzy.

- Nie tłumacz się - powiedziała pojednawczo. - Potrzebowałeś pieniędzy, żeby ulepszyć pokaz, a w jaki sposób to zrobisz, to już twoja głowa.

- Jane, jesteś aniołem! Jeszcze tylko jedna sprawa... - Zawahał się na chwilę. - Widzisz, pokazy będą dłuższe niż zwykle i będą wymagały staranniejszych przygotowań. Trzeba w nie włożyć dwa razy więcej pracy... Cieszę się, że jesteś ze mną.

- Rozumiem. - Spojrzała na niego z ukosa. - Żadnych romantycznych spacerów w blasku księżyca ani zapewnień, jak dobrze być razem, prawda, kochanie?

- Oczywiście - odparł z powagą. - Jesteś tu po to, żeby mi pomagać. Nie wspomniałem ci o tym?

- Pomiñałeś ten drobny szczegół.

Wybuchnęli głośnym śmiechem. Potem dłuższy czas jechali w ciszy. Jane raz po raz spoglądała na Gila i cieszyła się, że może nasycić oczy widokiem jego twarzy. Dzięki pracy na świeżym powietrzu miał opaloną skórę, a słońce wydobywało z jego ciemnych włosów granatowy odcień. Szlachetny profil, prosty nos, wysokie czoło oraz znamionujący upór podbródek przykuwały uwagę. Ale najbardziej podobały się Jane jego usta - wydatne, stanowcze, a jednocześnie ciepłe i miękkie, jakby stworzone do pocałunków.

Ale pocałunki już jej nie wystarczały... Musiała przyznać przed sobą, że pragnęła się kochać z Gilem i wiedziała, że nieuchronnie to nastąpi. Ten przystojny, fascynujący mężczyzna przez najbliższe tygodnie będzie do niej należeć... Cóż za rozkoszna myśl! Jane - przyzwyczajona do konstruowania

precyzyjnych wykresów i prognoz - cieszyła się, że tym razem nie musi robić planów na zbyt odległą przyszłość.

Na lunch zatrzymali się przed wiejską gospodą, która znajdowała się w starym elżbietańskim budynku przyozdobionym koszami kwitnących kwiatów.

- Zamów jedzenie - powiedział Gil - a ja pójdę z Perrym na spacer. W porządku, Perry, już idziemy!

Perry pobiegł susami w kierunku małego lasu; z odległości zdawało się, że ramię Gila z każdą chwilą się wydłuża. Jane popatrzyła za nimi z uśmiechem. Gil miał najwyraźniej kłopoty z dotrzymaniem kroku potężnie zbudowanemu bassetowi, nie mówiąc już o powstrzymaniu go.

Weszła do gospody i zamówiła dwa duże kromki z mięsem oraz sok pomarańczowy. Gdy wyniosła jedzenie na zewnątrz, Gil i Perry wracali ze spaceru. Tym razem Gil szedł z przodu, a Perry raz po raz usiłował zawrócić do lasu. W pewnym momencie Gil zatrzymał się i rozłożył ręce w bezradnym geście. Perry wykorzystał tę chwilę i pociągnął Gila do tyłu, niemal wyrywając mu ramię ze stawu.

Tym razem Jane uratowała sytuację. Intuicyjnie podbiegła ku nim, wyciągając rękę z kromką. Rezultat był natychmiastowy. Perry zawrócił i podążył w jej stronę. Jane taktycznie wycofywała się w kierunku samochodu. Wreszcie Perry porwał jedzenie tak łapczywie, że z trudem udało jej się ocalić kartonowy talerzyk.

- Przypilnuj tego psa z piekła rodem - powiedział zrezygnowany Gil. - Przyniosę więcej jedzenia.

- A mówiłeś, że jest sympatyczny...

- Ma siłę byka, upór osła i kompletny brak odpowiedzialności - skwitował, podając jej smycz. - Teraz należy do ciebie. Idę po kromki.

- Kup od razu trzy porcje - zasugerowała.

Gil podejrzliwie zerknął na psa, po czym skinął głową i szybko odszedł.

- Biedne maleństwo - uzalila się Jane. - Jak można nazywać cię psem z piekła rodem!

Perry najwyraźniej zgadzał się z tą opinią, ponieważ położył głowę na kolanach Jane i podniósł na nią oczy pełne bezgranicznej ufności.

- Perry chce pić - zauważyła Jane, gdy Gil wrócił z jedzeniem. - Gdzie jest jego miseczka?

- Nie mam żadnej miseczki - odpowiedział. - Perry jest ze mną zaledwie od kilku godzin, więc...

- Zajmę się tym - odparła stanowczo, głaszcząc ogromne uszy psa. - Ten facet nie ma pojęcia, jak należy się tobą opiekować.

Poszła do gospody, pozostawiając Gila z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia. Właściciel pożyczył jej miseczkę, do której nalala wody. Uszczęśliwiony Perry opróżnił ją aż do dna, następnie skonsumował kolejnego kroieta i wreszcie zadowolony poszedł spać.

Gdy zjedli, Jane rozejrzała się po wnętrzu przyczepy oczami gościa, który ma tutaj zamieszkać. Przyczepa najlepsze czasy dawno miała za sobą. Co prawda, sprzęty lśniły czystością, ale nosiły ślady długoletniego użytkowania. Zamknięcie niektórych drzwi wymagało dużego wysiłku.

Gil przygotował dla niej trochę wolnego miejsca, ale mimo że wzięła ze sobą niewiele bagażu, zorientowała się, że będzie im tu bardzo ciasno. Składany stolik wieszano na ścianie, gdy nie był w użyciu. Po obu jego stronach znajdowały się miękkie siedzenia, dosyć długie, by się na nich położyć. Była tu również kuchenka dwupalnikowa, a w maleńkiej łazience prysznic - ale nie zauważyła niczego do spania...

- Na noc rozkłada się stół - wyjaśnił Gil. - Wówczas z siedzeń robi się łóżka. Nie ma między nimi wiele miejsca, ale wystarczy, aby wejść i wyjść. W porządku?

- Oczywiście - odrzekła, usiłując wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu. - A gdzie Perry? - zainteresowała się, gdy opuścili przyczepę.

- Zdrzemnął się w samochodzie...

- Nie ma go tutaj!

Poszukiwania Perry'ego zostały wkrótce uwieńczone sukcesem. W ogrodzie za domem delectował się lodami, którymi karmiły go dzieci.

- Biedne stworzenie - zauważyła jakaś kobieta. - Właściciel musi go głodzić.

- Trzy krokiety to rzeczywiście głodowa porcja! - obruszył się Gil. - Chodź, niewdzięczny psie!

Po kilku minutach, gdy wyjechali na drogę do Dellbrough, Perry głośno chrapał na tylnym siedzeniu.

W Dellbrough zastali rozstawione namioty i stoły na kozłach. Jakiś mężczyzna skierował ich na otwartą przestrzeń poza terenem kiermaszu i wskazał miejsce do zaparkowania.

- Nazywam się Jack Hastings - przedstawił się, gdy wysiedli z samochodu. - Reprezentuję radę miejską. Czy to miejsce wam odpowiada? Staraliśmy się przygotować wszystko zgodnie z nadesłanymi instrukcjami.

- Świetnie - ucieszył się Gil, rozglądając się wokół z aprobatą. - Z dala od drzew i zabudowań... W porządku. Czy zbudowaliście rusztowanie?

- Jutro będzie gotowe. Ma pan dokładny plan całego widowiska?

Gil wyciągnął kartkę papieru pokrytą tajemniczymi liniami i zawijasami.

- To tak wygląda... - zaczął tłumaczyć.

Jane wzięła Perry'ego na smycz i udała się na rekonesans. Wkrótce znalazła niewielki pasaż handlowy i w jednym ze sklepów kupiła miski dla Perry'ego, puszki z pożywieniem, twarde ciasteczka i gumową piłkę. Teraz mogła skoncentrować się na jedzeniu dla siebie i Gila. Gdy wcześniej zajrzała do lodówki, odkryła poważne braki w zapasach.

Kiedy wróciła po upływie pół godziny, okazało się, że dwaj mężczyźni nadal pograżeni byli w rozmowie na fachowe tematy. Jane przystanęła z boku i zafascynowana przyglądała się Gilowi. Wiedziała już, że podczas pokazu zachowywał się jak dyktator, ale teraz dostrzegła w nim jeszcze inny rys... Wydawał polecenia cichym głosem, jak ktoś przyzwyczajony do rządzenia. Stanowiło to ostry kontrast z błazeńskim wizerunkiem, który na co dzień prezentował światu. Raz jeszcze skonstatowała, że tkwi w nim wiele tajemnic.

- Zjemy teraz kolację - zaproponowała, gdy Jack Hastings wreszcie sobie poszedł.

- Poczekaj jeszcze chwilę - powiedział, cały czas zerkając na kartkę papieru. - Chciałbym ci coś pokazać...

Jane i Perry wymienili spojrzenia, a potem postąpili krok do przodu.

- Jesteśmy głodni - powiedziała bardzo stanowczo Jane.

- W takim razie poddaję się - odrzekł zrezygnowanym tonem. - Ale właściwie nie mamy nic do jedzenia. Muszę dopiero iść coś kupić...

- Jest mnóstwo jedzenia - wtrąciła pospiesznie. - Jak myślisz, gdzie byłam przez ostatnie pół godziny?

- Nie było cię tutaj? - wyjąkał zaskoczony.

- Zobacz, nawet nie zauważył naszej nieobecności - poskarżyła się Jane psu. - Co ty na to? - Perry westchnął z wyraźnym smutkiem. - Zgadzam się z tobą w zupełności - powiedziała z naciskiem.

- Przepraszam... - Gil uśmiechał się pod nosem, idąc za Jane do przyczepy. - Co mogę teraz zrobić, żeby się zrehabilitować?

- Nakarm psa - powiedziała, rozpakowując prowiant. - A ja przygotowuję coś dla nas.

Wszystko szło zgoła inaczej niż powinno, myślała z rozpaczą, gdy już siedzieli przy stole. Powinni popijać teraz wino, patrząc sobie w oczy... Owszem, Gil uśmiechał się do niej przyjaźnie, pochwalił stek, ale rozmowa obracała się wyłącznie wokół pokazu, a wszystkie nowe pomysły, które przychodziły mu do głowy, natychmiast zapisywał, w obawie, by ich nie zapomnieć.

Jane dała się wciągnąć w. rozmowę, ale w głębi serca czuła rozczarowanie. Nie przyjechała tu dla fajerwerków... Zrobiła to przecież dla Gila! A on wydawał się teraz tak bardzo obcy...

Po kolacji pozmywał i posprzątał, a potem pokazał jej, gdzie jest pościel.

- Wyjdę z Perrym na krótki spacer - rzucił zdawkowo. - Tymczasem... możesz się rozebrać. No, chodźmy, piesku!

Jane była sfrustrowana. Zamiast romantycznie i ekscytująco zarazem - sztuka po sztuce zdejmować z niej ubranie - Gil po prostu się ulotnił! Z niechęcią przystąpiła do siania łóżek, wyładowując złość na poklepywaniu poduszek.

W jednej z szuflad znalazła spis wyposażenia i instrukcję obsługi przyczepy; między innymi opisano tam szczegółowo, jak z dwóch łóżek zrobić jedno podwójne. To naprawdę nie wymagało wysiłku. Ale Gil, jakby specjalnie, schował instrukcję głęboko do szuflady. Zaciskając zęby, Jane wcisnęła ją tam z powrotem i z takim hukiem zasunęła szufladę, że odpadła rączka.

Gdy Gil wrócił, leżała już w łóżku z zamkniętymi oczami. Rozbierał się dyskretnie i po cichu, gdy nagle Perry zaczął szczekać, usiłując wydostać się z przyczepy. W końcu Gil wyszedł z nim ponownie na zewnątrz. Niebawem wrócił sam, położył się do łóżka i zgasił światło.

- Co się stało z Perrym? - zaniepokoiła się Jane.
- Rozłożyłem mu koc pod przyczepą. On woli świeże powietrze.
- Nie ucieknie?
- Przywiązałem smycz do przyczepy. Wygodnie ci?
- Doskonale, dziękuję,
- W takim razie dobranoc.
- Dobranoc - odpowiedziała niemal z urazą.

Jane obudziła się, czując na sobie ucisk ciężkiego, ciepłego ciała. Otworzyła oczy i napotkała pełne uwielbienia spojrzenie swego nowego przyjaciela.

- Cześć - wymamrotała, gładząc psa po głowie. - Myślałam, że śpisz na dworze. - Perry tylko westchnął głęboko i przytulił się do niej jeszcze mocniej.
- Nie mogę pozwolić, byś nabrał takiego zwyczaju - poinformowała go stanowczo, po czym narzuciła szlafrok i wyszła na dwór.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Słońce dopiero co wstało, ziemię pokrywała rosa, a w powietrzu czuło się rześki chłód. Jej ukochany Gil, ubrany tylko w spodnie od pizamy, skakał bosy na wilgotnej trawie, raz po raz wyrzucając ramiona w niebo, jakby chciał objąć nimi cały świat.

Perry pogalopował ku niemu, szczekając radośnie, i po chwili obaj podskakiwali obok siebie, robiąc wiele hałasu. Gil, ujrawszy Jane, podbiegł ku niej w podskokach.

- Spójrz tylko! - zawołał, wskazując na pole. - Czyż nie jest cudowne?
- To tylko pole - oświadczyła z uśmiechem.

- Tylko pole? A gdzie twoja wyobraźnia? To tak, jakbyś powiedziała malarzowi, że płótno to tylko kawałek materiału. To jest moje płótno! Tu będę malował moje obrazy. - Chwył ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Daj spokój, Gil, mam bosa stopy! - usiłowała się bronić.

Wtedy podniósł ją do góry i tak długo kręcił się z nią w kółko, aż poczuła zawrót głowy.

- Popatrz, tam będą stali widzowie, odgradzeni liną - tłumaczył gorączkowo. - Tu mamy czterdzieści metrów wolnej przestrzeni, potem następna lina... To będzie strefa bezpieczeństwa. Pokaz odbędzie się tu, gdzie teraz stoimy. - Pocałował ją znienacka w policzek. - Kobieto, czy jesteś przygotowana na dzień ciężkiej pracy?

- Wszystko wskazuje na to, że nie zostawiono mi wyboru. Czy masz jednak coś przeciw temu, bym najpierw zjadła śniadanie?

- Masz tylko pięć minut.

- Jesteś doprawdy wspaniałomyślny.

Gdy przyrządzała śniadanie, Gil, przyglądając się planowi terenu, mówił:

- Zaczniemy od eksplozji dźwięków i ostrych kolorów. To przyciągnie uwagę, skłoni do patrzenia w górę. A potem, nim zdążą złapać oddech, uderzymy wystrzałem kolorowych rac... bengalskich ogni i złotego deszczu... Posuń się, Perry. Następnie spokojniejsza część, bardziej wyciszona, a w finale różnobarwne rakiety przy akompaniamencie ogłuszających grzmotów. Perry, przesuń się!

Pies posunął się, ale tylko o kilka centymetrów, skąd nadal mógł zebrać o kawałki bekonu. Jedli z apetytem. Od czasu do czasu, w nagłym natchnieniu, Gil robił notatki.

- Jeszcze tylko ostatnie poprawki - powiedział, a Jane zrozumiała, że mogło to oznaczać wszystko: od dodania kilku rac do zmiany planu całego widowiska.

Ranek, który nastał, był najcięższy, jaki w życiu przeżyła. Wkrótce pojawili się trzej młodzi pracownicy przysłani przez radę miejską i zaczęli budowę drewnianego rusztowania zgodnie ze wskazówkami Gila. Nalegał, by go słuchano aż do najdrobniejszego szczegółu i był niezwykle wymagający.

- Współczuję ci - powiedział jeden z robotników do Jane. - Czy ciebie też tak musztruje?

- Och - westchnęła - w ogóle zapomniał, że z nim przyjechałam.

Wkrótce pożałowała tych słów, ponieważ Gil przydzielił jej zadanie wykopania na polu małych dołków, skąd miały być wystrzeliwane rakiety.

- Powinny mieć przynajmniej piętnaście centymetrów głębokości i siedem i pół szerokości - powiedział. - I muszą być nachylone pod kątem, zgodnie z kierunkiem wiatru.

Wykonała zadanie najlepiej, jak umiała, ale Gil nie był zadowolony.

- Są zbyt szerokie - skonstatował. - Mają co najmniej dziesięć centymetrów. Zakop je i zacznij od nowa. - Mówił tonem tak stanowczym, że nawet nie usiłowała dyskutować. - I jeszcze jedno: trawa jest tutaj za długa. Lepiej ją przytnij w miejscach, gdzie chcesz wykopać dołki.

- Co jeszcze, szefie?

Uśmiechnął się i pocałował ją w czubek nosa.

- Jeśli coś przyjdzie mi do głowy, nie omieszkam cię zawiadomić - rzekł prowokacyjnie, po czym odwrócił się i przestał na nią zwracać uwagę.

Jane pożyczyła od robotników sekator i zabrała się za obcinanie trawy, dochodząc do wniosku, że wybrała się na niewłaściwą wycieczkę. Na domiar

złego Perry, zwabiony odgłosem sekatora, zapragnął włączyć się do zabawy, musiała więc co chwila przerywać pracę, by go nie pokaleczyć.

Gdy w pocie czoła zakończyła kopanie, zawołała Gila, licząc na słowa aprobaty.

- Szerokość jest doskonała - zawyrokował - kąt nachylenia również, ale...

- Ale? - zaniepokoiła się.

- Za płytkie.

- Za płytkie! - buntowała się po odejściu Gila. - Powinniśmy wykopać jedną głęboką dziurę, Perry, i zasypać w niej twego pana.

Och, po co ja tu w ogóle przyjechałam? Księżyc, róże i romans... A Sara myślała, że będę miała słodkie wspomnienia! O, tak, będę miała co wspominać - obolałe plecy i mężczyznę, który na moich oczach przemienił się w Czyngis-chana!

Po wykopaniu dołków przyszła kolej na ich wypełnienie. W każdy z nich włożyła plastikową torebkę, a w nią tekturowy moździerz z pociskiem. Plastik chronił rurę przed zawilgoceniem w ziemi. Gdy przygotowała już dwadzieścia takich dołków, znów ogarnął ją bunt.

Jednocześnie szanowała obsesję Gila na punkcie bezpieczeństwa. Klucz do pudła z rakietami trzymał w kieszeni i otworzył je dopiero w ostatniej chwili, by zademonstrować jej technikę odpalania. Musiał wielokrotnie powtarzać te same czynności, aż dobrze zapamiętała zasady bezpieczeństwa.

- Nigdy nie pochylaj się nad rakieta, gdy ją odpalasz - powtarzał w kółko.

- Rób to na długość wyciągniętej ręki. Jeśli nie zapali się od razu, wycofaj się. Nawet nie próbuj sprawdzać, co się dzieje, ponieważ właśnie wówczas wystrzeli. Jasne?

- Jak słońce - odparła, konając ze zmęczenia.

- Jestem dzisiaj nieznośny, nie uważasz? - Uśmiechnął się szeroko.

- Tak - przyznała bez ogródek, ale poczucie sprawiedliwości nakazało jej dodać: - Ale rozumiem cię.

- Bezpieczeństwo jest najważniejsze - odparł. - Nie chcę lekkomyślnie narażać niczyjego życia ani zdrowia. No, zabieraj się za pracę! - Musnął wargami jej policzek i już go nie było.

Jakże mogła kiedykolwiek pomyśleć, że Gil jest nieodpowiedzialny!

Pod wieczór Gil z satysfakcją oświadczył, że wszystko gotowe i zapowiedział przerwę na zasłużony obiad.

- Może pojedziemy do restauracji, którą mijaliśmy wczoraj wieczór? - spytała nieśmiało Jane, oczami duszy widząc romantyczną kolację we dwoje.

Ale Gil był nieprzejednany.

- Nie mogę tak wszystkiego zostawić na pastwę nieproszonych gości - wyjaśnił. - Kupię steki i zjemy na świeżym powietrzu. Dzięki temu cały czas będę miał teren na oku. To najlepszy pomysł, prawda?

- Cudowny - przyznała niechętnie.

Gil odmówił jednak wypicia wina, które Jane rozlała do kieliszków, aby trochę uświetnić ten skromny obiad.

- Nigdy nie piję przed występem - wyjaśnił, po czym uśmiechnął się rozbijająco. - To zabrzmiało trochę pompatycznie... Ale to naprawdę ważne.

- Jakże mogłam sądzić, że jesteś płochym żartownisiem - powiedziała tonem drwiny skierowanej do samej siebie.

- Miałaś rację, jeśli chodzi o większość spraw - przyznał.

- Ale tę pracę traktuję śmiertelnie poważnie. Muszę odnieść sukces. Muszę. - Wpatrywał się w jakiś odległy punkt na horyzoncie, jakby całkiem zapomniał o Jane, po czym podniósł się od stołu. - Jeszcze raz wszystko sprawdzę - powiedział, wziął latarkę i udał się na obchód.

Jane patrzyła za nim kompletnie zaskoczona. Wiedziała już, że Gilem kierowała pasja artysty i skrupulatność rzemieślnika. Teraz jednak dojrzała w jego oczach coś jeszcze - silne pragnienie zrealizowania jakiegoś celu...

Zadziwiła ją ta niezwykła determinacja.

W końcu z nastaniem ciemności nadszedł czas rozpoczęcia widowiska. Jane była podwójnie podniecona, ponieważ po raz pierwszy miała wyznaczone zadania - między innymi obsługę aparatury stereo - i nie chciała sprawić zawodu. W ciemnościach widziała tylko latarkę Gila, którą dawał jej znaki.

Gdy zabrzmiały pierwsze nuty jednego z utworów Haendla, Gil wystrzelił pierwszą racę. Jane popędziła na swoje miejsce i odpaliła następną racę idealnie na czas. Na niebie pojawiła się barwna fontanna powitana burzliwymi oklaskami.

- Doskonale, Jane! - rzucił Gil, gdy - mijali się w locie.

Po chwili na niebie eksplodowały następne fajerwerki. Jane uwijała się jak w ukropie, pędząc to tu, to tam, a gdy w pewnym momencie przystanąła zdezorientowana, Gil natychmiast chwycił ją za ramię i popchnął we właściwym kierunku. Jeszcze dziesięć minut, jeszcze pięć... Jane była w euforii. Pragnęła, by przedstawienie nigdy nie miało końca... Ale nadszedł finał. Kakofonia dźwięków była ogłuszająca. Rakiety strzelały w górę jedna za drugą - zdawało się w nieskończoność. Wreszcie ostatnia strzała błysnęła i zgasła. Tłum zawył z zachwytu, a potem posypały się brawa - kaskada nie milknących braw. Widowisko było skończone. Publiczność zaczęła się rozchodzić.

- Udało się! - wykrzyknął podniecony Gil. - Nasz pierwszy wspólny pokaz!

- Odnieśliśmy sukces? - spytała nieśmiało.

- Wielki sukces! Było cudownie. - Przyciągnął ją do siebie i uwięził w ramionach.

Dotyk jego ust, ciepłych i stanowczych, nappełnił ją rozkoszą. Czuła, że wreszcie nadszedł wymarzony moment... Ale Gil cofnął się nagle i powiedział z lekkim westchnieniem:

- Czas zabrać się do pracy.

Piękne marzenie przysło. Jane powoli otworzyła oczy.

- Do pracy? - spytała sennie. - A cóż dotąd robiliśmy?

- Musimy poszukać niewypałów - wyjaśnił. - Weźmiemy latarki. -

Zniknął na chwilę w przyczepie, po czym wrócił z dwoma kubłami wody. - Jeśli cokolwiek znajdziesz, ostrożnie podnieś i zatop w wodzie. Oto twoja latarka.

Gdy wrócili pół godziny później, Gil wziął Perry'ego na spacer, a Jane zabrała się za przygotowywanie spóźnionej kolacji. Podczas pracy intensywnie myślała nad przemówieniem, które zamierzała wygłosić, gdy tylko Gil wróci ze spaceru. Musiała wreszcie jasno postawić sprawę. Powie mu tak: Gil, sądzę, że nadszedł czas, byśmy poważnie zastanowili się, co ja tutaj robię... Niezbyt dobrze. A może tak: Nie wybrałam się w tę podróż jedynie po to, aby być twoim Piętaszkiem. Jestem tu z tobą, ponieważ cię kocham, ale równie dobrze mogłam zostać w domu... Nie, to zabrzmiałoby zbyt agresywnie. Poza tym obawiała się swojego miłosnego wyznania, ponieważ wcale nie była pewna, co on czuł w stosunku do niej.

Może żałował, że ją zaprosił, a teraz nie potrafił zręcznie się wycofać? Może jego wolny duch wzdragał się przed nadmierną bliskością?

Gil wrócił dość późno, ciężko dysząc.

- Przepraszam cię, ale to jego вина - powiedział, wskazując na Perry'ego.
- Miał ciężki atak miłosnego zadurzenia.

- Co takiego?

- Fifi la Luna, śliczna pudlica, ale nie była nim zainteresowana. - Zwrócił się do Perry'ego, który miał minę niewiniątka: - Zapamiętaj sobie, rozpustniku, że trzeba zrezygnować, gdy dama mówi „nie”.

Podczas kolacji Gil chichotał, opowiadając szczegóły nieudanych zalotów Perry'ego. Znów przywdział maskę kłowna i Jane w żaden sposób nie potrafiła do niego dotrzeć. Oczywiście, robił to celowo. Po prostu nie chciał, by do niego dotarła... Żarty były znakomitym sposobem utrzymania między nimi emocjonalnego dystansu.

Po kolacji wspólnie zmyli naczynia, a potem Gil ulokował Perry'ego pod przyczepą. Gdy wrócił, Jane postanowiła wygłosić swoje przemówienie. Teraz albo nigdy. Poczekała jeszcze, aż położył się do łóżka i zgasił światło.

- Gil... - zaczęła.

- Hmm?

- Czy nie uważasz...? To znaczy... chciałabym coś ci powiedzieć. Zanim rozpoczęliśmy tę podróż, właściwie dobrze się nie znaliśmy... Gil...? Gil?!

Gil już spał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Prawdziwy triumf odnieśli dopiero dwa dni później. Wszystko poszło jak z płatka, a gdy ostatnie światło na niebie zgasło, tłum wydał dziki okrzyk radości.

Czekała ich jeszcze żmudna praca odszukania niewypałów - tym bardziej uciążliwa, że powietrze było dziś parne i duszne. Jane, przyodziana w szorty i podkoszulek, żałowała, że nie może jeszcze bardziej się rozebrać, przynajmniej tak jak Gil, który zdjął już koszulę i demonstrował swą imponującą klatkę piersiową.

- Zanosi się na burzę - powiedział. - Całe szczęście, że nie zepsuła nam widowiska. No, chyba zebraliśmy wszystko...

- Jestem wykończona - oznajmiła Jane. - Nie moglibyśmy tu przenocować i przeczekać burzy?

- Niestety, nie. Musimy opuścić teren przed północą. To wiąże się z terminem ubezpieczenia zawartym w umowie. Ale za to później zrobimy sobie przerwę. Następny pokaz nad morzem mamy dopiero w sobotę, możemy więc trochę odpocząć.

- Wspaniale! - ucieszyła się Jane, wyobrażając sobie romantyczne spacery po plaży przy blasku księżyca i atmosferę błędnego lenistwa.

Gdy byli już gotowi do drogi, okazało się, że Perry zniknął.

- Domyślam się - jęknął Gil - że nasz niedożywiony towarzysz zebrze o resztki przy stoisku z wędlinami.

Gdy poszedł w kierunku składanych pospiesznie straganów, aby poszukać psa, Jane ziewnęła, przymknęła oczy i oddała się słodkim marzeniom o najbliższych dniach.

- Przepraszam... - Męski głos wyrwał ją z zamyślenia.

- Nazywam się David Shaw. Jestem pod wrażeniem waszego widowiska - entuzjasmował się. - To najlepszy pokaz sztucznych ogni, jaki w życiu widziałem!

- Dziękuję - odparła Jane. - Przekażę komplementy panu Wakehamowi.

- Chodzi o to - podjął mężczyzna - że organizujemy przyjęcie urodzinowe naszej dziesięcioletniej córce. Zamówiliśmy iluzjonistę, ale w ostatniej chwili odwołał przyjazd. Córka uwielbia fajerwerki i taki pokaz sprawiłby jej wielką frajdę. Czy honorarium pana Wakehama jest bardzo wygórowane?

Jane z uśmiechem sięgnęła po cennik Gila.

- Ceny pokazów są raczej umiarkowane - powiedziała.

- Och, na to możemy sobie pozwolić! - ucieszył się, wskazując najtańszą ofertę zamieszczoną na końcu cennika. - To byłoby wspaniale... - Urwał, ponieważ właśnie wrócił Gil z Perrym, a gdy Jane ich sobie przedstawiła, ciągnął: - Problem polega na tym, że przyjęcie urodzinowe odbędzie się jutro wieczorem. Wiem, że to trochę późno. Ale jeśli by państwo mogli...

- Oczywiście, że możemy! - pospieszył z zapewnieniem Gil. - Właśnie mamy przerwę do soboty. Gdzie pan mieszka?

- Na niewielkiej farmie, około dwadzieścia kilometrów stąd. - Podał dokładny adres i naszkicował plan dojazdu. - Pojechałbym przodem, ale mam jeszcze tutaj jedno ważne spotkanie. - Spojrzał na niebo, gdy spadła nań kropla deszczu. - Pójdę już. Zbiera się na burzę.

- Jeszcze jedno zlecenie! - zawołał radośnie Gil, gdy tylko mężczyzna się oddalił. - Jane, czy to nie wspaniale?

- Wspaniale - powiedziała bez cienia entuzjazmu w głosie, wiedząc, że perspektywa odpoczynku w towarzystwie Gila ulatnia się bezpowrotnie.

- Nie wyglądasz na zachwyconą - zauważył.

- Cóż, prawdę powiedziawszy, wolałabym spędzić te kilka dni nad morzem.

- Przyjdzie na to czas. A wiesz, co w tym jest wspaniałego?

- Nie wiem. Musisz mnie oświecić. - Starła się, by jej głos brzmiał wesoło.

- Pieniądze, moja droga! Ciągłe mam długi wobec moich dostawców, Większość spłacę z tego, co dzisiaj zarobiłem, reszta pójdzie na benzynę. Ale to nadprogramowe zlecenie pomoże mi spłacić ciebie. Czyż to nie wspaniale?

- Nie martwiłam się tym długiem - odparła z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

Do diabła z pieniędzmi! - zżymała się w duchu. Wolałaby usłyszeć, że żałuje straconej okazji spędzenia z nią wolnego czasu... Ale on nie żałował. Nie żałował!

- Gil - dodała z cieniem desperacji w głosie - są w życiu sprawy ważniejsze od pieniędzy.

- Czyżbym doczekał chwili, gdy poważny, zdawałoby się, bankowiec doradza mi lekceważenie finansowych zobowiązań? - zadrwił, a oczy mu się śmiały szelmowsko.

Jane patrzyła nań osłupiała. Jakże mogła zapomnieć, że jest dyrektorem banku!

- Chciałam tylko powiedzieć... - usiłowała się usprawiedliwić. - Miałam nadzieję, że spędzimy kilka wolnych dni... razem.

- Ją też. Ale będziemy je mieli, prócz tego jednego dnia...

- Chyba że pojawi się kolejny klient! - przerwała mu, nie kryjąc złości,

- Im więcej zarobię, tym szybciej spłacę ci dług. Myślałem, że to rozumiesz.

- Och tak, rozumiem! - zakpiła. - Zaczynam wszystko rozumieć

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zirytował się.

- Nic. Zapomnij o tym.

- Jakże mogę puścić w niepamięć takie tajemnicze uwagi?!

Jane miała świadomość, że zachowuje się jak rozkapryszone dziecko; to zmęczenie i rozczarowanie pogłębiło jej zły nastrój. Zrobiła wysiłek, by wrócić do równowagi.

- Dajmy temu spokój. - Starła się mówić łagodnym tonem.

- Mieliliśmy długi, męczący dzień. Lepiej już jedźmy.

- Ale ja chciałbym cię zrozumieć...

- To takie trudne, prawda? - powiedziała zaczepnie, znów dając się ponieść złości.

- Owszem. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- O nic - burknęła.

- Co ja takiego zrobiłem?

- Nic nie zrobiłeś - stwierdziła oczywisty fakt.

- A więc dlaczego mam kłopoty?

- Gil, czy wreszcie wyruszymy, czy też masz zamiar spędzić tu całą noc na kłótni?

- Jedźmy więc. - Rzucił Jane rozwścieczone spojrzenie i wsiadł do samochodu.

Kilka minut później byli już w drodze.

- Masz tę mapę, którą naszkicowałem dla nas Shaw? - spytał.

- Mam. - Jane wpatrywała się w kawałek papieru. - Ale mogę cokolwiek odczytać tylko w świetle latarni.

- Cóż, to nie moja wina, że latarnie są tu taką rzadkością - powiedział tonem lekkiej ironii. - Możesz mimo to dać mi jakieś wskazówki? Gdzie teraz powinienem skręcić?

- Jeśli jest to Clayborn Road, to w lewo.

- A jeśli to nie jest Clayborn Road?

- Nie wiem - ucięła ze złością.

- Miejmy zatem nadzieję, że to jest Clayborn Road.

Drobna sprzeczka przerodziła się w kłótnię, a następnie w prawdziwą awanturę. Jane - zmęczona, głodna i rozczarowana - uważała, że miała prawo być wściekła. W oczywisty sposób Gil podzegał jej zły humor.

- Nie sądziłam, że potrafisz się tak zachowywać - wycodziła.

Nawet nie tracił czasu, by spytać, co miała na myśli.

- Każdemu zdarza się to od czasu do czasu - powiedział samokrytycznie.

- Po prostu nie znaleźliśmy się od tej strony...

- My? - zdziwiła się. - Jeśli o mnie chodzi, jestem uosobieniem taktu i rozsądku.

- Ho, ho, ho! - skomentował.

- Nie mów do mnie tonem zramolałego Świętego Mikołaja! - wykrzyknęła doprowadzona do wściekłości.

- Jeśli byłbym Świętym Mikołajem i miał do pomocy takiego krasnoludka jak ty, nie wiem, czy w ogóle dostarczyłbym jakiś prezent - zaśmiał się cicho. - W którą stronę mam skrócić?

- Gdzie?

- Już nieważne, przejechałem.

- To mógł być właśnie ten skręt, którego potrzebowaliśmy.

- Trudno, nie moja wina... Niedługo powinien być zjazd do Corydale. Chyba że go również minęliśmy - dodał prowokacyjnym tonem.

- Zbliżamy się do jakiegoś znaku - zawołała. - Poczekaj, nie jedź za szybko.

- Nie jadę za szybko. W taki deszcz to byłoby niemożliwe.

- Teraz była to już prawdziwa ulewa. Wycieraczki Gila nie nadążały ścierać szyb. Wyteżał wzrok, by dojrzeć coś przez potoki deszczu.

- Nie powiedziałam, że jedziesz za szybko - burknęła Jane, studiując niewyraźnie naszkicowany plan. - Powiedziałam, byś jechał tak, bym mogła dojrzeć znak.

Gil gwałtownie zahamował.

- Czy tak jest wystarczająco wolno? - spytał przez zaciśnięte zęby.

- Doskonale, dziękuję - powiedziała szorstko.

Jane musiała wysiąść, żeby odczytać znak. Strumienie deszczu smagały jej gołe nogi, przesiąkały przez skąpy podkoszulek. Mokra i przygnębiona wdrapała się z powrotem do samochodu.

- Skręć w prawo - poinstruowała. - Na szczęście nie przejechaliśmy drogi do Corydale.

- Dobry z ciebie krasnoludek. - Gil nie potrafił poskromić swej złośliwości.

- Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie krasnoludkiem, przysięgam, że wysiądę i wrócę pieszo do Wellhampton!

- Na litość boską, Jane! Gdzie się podziało twoje poczucie humoru?

- Przeszło na wcześniejszą emeryturę - odcięła się szorstko.

- Nie wiem dlaczego, ale nagle wydajesz mi się całkiem inną osobą.

- Ty też.

- Ja? - powiedział tonem urażonej niewinności. - Staram się zrozumieć twoje humory, ale, jak widać, nie jest to łatwe.

To było potwornie niesprawiedliwe! Z wrażenia na kilka chwil odebrało jej mowę. Wreszcie opanowała oburzenie i odezwała się głosem zimnym jak lód:

- Byłam łagodna jak baranek i ustępliwa. Wykonywałam każdą pracę, którą mi zleciłeś... pomagałam przy fajerwerkach, kopałam dołki... za płytkie, za głębokie... Znosiłam tego zwariowanego psa, który albo drapał się, albo usiłował pociągnąć przyczepę zawsze wtedy, kiedy właśnie zasypiałam...

- Zmyślasz - przerwał jej ze śmiechem. - Dlaczego ja tego nie pamiętam?

- Ponieważ ciebie nie obudziłoby nawet trzęsienie ziemi! Tak chrapiesz!

- Wcale nie chrapię - zaprzeczył urażony.

- Czyżby?

- Nie chrapię! - zawołał. - Niech ci bogowie wybaczą kłamstwo, kobieto!

- Och! - jęknęła oburzona.

Na najbliższe pięć minut zapadła głucha cisza. Gil całą swoją uwagę skupił na wypatrywaniu drogi.

- Gdzie się podziały wszystkie światła? - spytał w końcu. - Tu jest ciemno jak w grobie.

- Wyjechaliśmy już daleko poza zabudowania. Niedługo powinniśmy znaleźć tę farmę.

- Lepiej zwolnię. Nawierzchnia jest fatalna.

Wychylając się do przodu i na boki, wypatrywali wybojów i dziur. Samochodem rzucało na wszystkie strony, a z tyłu dobiegał łomot przyczepy.

- Tam jest farma! - zawołała Jane, gdy jej bystre oczy wypatrzyły w świetle reflektorów zarys zabudowań.

Gil skręcił i teraz obydwójce widzieli przed sobą światła domostwa.

- Gdzie teraz? - spytał po chwili. - Droga zniknęła...

- Wsiądę i cię poprowadzę.

Otworzyła drzwi i wyskoczyła prosto w kałużę. Posuwając się wolno do przodu, natrafiła na następną kałużę, a potem na cały ciąg małych, błotnistych

jeziorek, Dostrzegła jednak tu i ówdzie rozmyte ślady polnej drogi. Pomachała do Gila, a on zaczął wolno za nią podążać.

Nagle Jane przystanęła; światła domu w nie wyjaśniony sposób zniknęły. W tym momencie błyskawica przecięła niebo, oświetlając całą okolicę i ukazując bezmiar pustych pól aż po ciemny horyzont.

- Co się dzieje? - wrzasnął Gil, wyskakując z samochodu. - Dlaczego stoimy?

Huk grzmotu zagłuszył jej odpowiedź.

- Mówiłaś, że docieramy do farmy! - wołał Gil.

- Droga nieoczekiwanie się skończyła - odpowiedziała wreszcie Jane. - Nie wiem, gdzie jesteśmy...

Gil włączył latarkę i zatoczył nią krąg po ziemi.

- Jesteśmy w szczerym polu - jęknął. - A pod nogami mamy grząskie bagno... Szybko, musimy się stąd wydostać, póki jeszcze czas!

Ale gdy wskoczyli do samochodu i Gil gwałtownie nacisnął pedał gazu - było już za późno. Przyczepa utknęła głęboko w ziemi, a koła buksowały w błocie.

- Do licha! - Gil zaklął po nosem, waląc dłonią w kierownicę. - Jane, musisz poprowadzić, a ja popchnę.

- Sam nie dasz rady - zaprotestowała. - Pomogę ci.

- A kto poprowadzi samochód? Perry?

- Zabierajmy się do dzieła! - zawołała.

Z całych sił podparli ramionami przyczepę, usiłując ją podnieść, ale ona, jak na złość, zapadała się coraz głębiej w ziemię. Gdy ślizgali się, potykali i upadali w błoto, Perry tańczył wokół nich, szczekając radośnie, zadowolony ze świetnej zabawy.

Wreszcie upadli na ziemię, kompletnie wyczerpani, niczego nie osiągając.

- I co teraz zrobimy? - spytała Jane, z trudem siadając. Była cała mokra, pokryta błotem i obolała.

- Nie mam pojęcia - odparł szczerze. Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać.

- Nie możemy ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Wygląda na to, że wyprowadziłaś nas w pole.

- Ja...? - Zająknęła się z oburzenia. - Ja wyprowadziłam?

- Przecież ty byłaś pilotem. - Zaśmiał się złośliwie. - Zresztą to już nie ma znaczenia...

- Nie ma znaczenia? - obruszyła się. - Najpierw mnie oskarżasz, a teraz mówisz, że to nie ma znaczenia?

- Nie oskarżam cię...

- Ale to ja wyprowadziłam nas w pole, czy tak?

- W istocie, tak było - rzekł z irytującym spokojem.

- Przypomnij sobie, że to nie ja przyjąłem to szaleńcze zlecenie w ostatniej chwili! - wybuchła. - To przez ciebie znaleźliśmy się, gdzie diabeł mówi dobranoc! I to jeszcze w samym środku burzy!

Gdy błyskawica rozświetliła niebo, zobaczyła, jak stał w strugach ulewnego deszczu, a jego naga klatka piersiowa unosiła się i opadała gwałtownie. Przyglądał jej się badawczym, lekko zdziwionym wzrokiem.

- Chcesz powiedzieć, że to moja wina, ponieważ przyjąłem zlecenie? - spytał.

- Cieszyłam się, że spędzimy trochę czasu razem - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Łudziłam się, że ty też tego chcesz... Nie podejrzewałam, że zapraszając mnie, przeznaczysz mi rolę konia pociągowego! Jestem po prostu

tanią siłą roboczą, nieprawdaż? Myślałam, że chcesz, abym była z tobą... -
Głos jej przycichł, a potem zamarł.

- Chcę - powiedział spokojnie.

- Nie, wcale nie chcesz - protestowała. - Potrzebowałeś kogoś, komu mógłbyś wydawać rozkazy.

- To nieprawda. - Odgarnął mokre włosy z twarzy. - Chciałem właśnie ciebie.

- Nic na to nie wskazuje - żaliła się. - Zwracasz większą uwagę na psa niż na mnie. Uważasz, że wystarczy obdarzyć mnie dwoma zdawkowymi pocałunkami...

- Co to znaczy „zdawkowymi”? Moje pocałunki nigdy nie są zdawkowe.

- Owszem, jeśli są wszystkim, co od ciebie dostaję - wyjaśniła. - Pojechałam z tobą, ponieważ cię kocham... Myślałam, że będzie to romantyczna podróż we dwoje. Myślałam, że mnie pragniesz. Ale gdybym wiedziała, że masz zamiar trzymać mnie na dystans, zostałabym w domu!

- Czyżbym popełnił błąd - spytał ponurym głosem - tylko dlatego, że nie rzuciłem się na ciebie już pierwszej nocy?

- Ani drugiej, ani trzeciej... - dodała gniewnie.

- Masz mi za złe, że nie rzuciłem się na ciebie jak spragniony seksu nastolatek? Myślałem, że zasługujesz na coś lepszego, Jane... Chciałem poczekać na odpowiednią atmosferę, okoliczności... ponieważ cię szanuję. I czekałem na sygnał od ciebie. Bez skutku. Miałaś dla mnie tylko krytyczne uwagi.

- Jeśli jestem złośliwa, to czyja to wina?

- Oczywiście, moja! - poddał się bez słowa sprzeciwu. - Jane, jesteś beznadziejna! Przecież ja też cię kocham. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

- Powtórz to jeszcze raz! - krzyknęła.

Wydawało jej się, że wymamrotał: „Tak będzie prościej”, ale nie była pewna, ponieważ w tej samej chwili zamknął ją w swoich ramionach i wycisnął na jej ustach pocałunek tak zachłanny, że całkiem straciła poczucie rzeczywistości.

- Przez cały czas tego pragnąłem - wyszeptał prosto w jej usta. - Ale byłaś tak pełna rezerwy...

- Ja?

- Myślałem, że do mnie przyjdiesz...

- Myślałam, że wcale tego nie chcesz...

- Teraz już wiesz - mruknął, przyciskając ją mocno do siebie.

Jane zarzuciła mu ramiona na szyję i z całego serca oddała pocałunek. Mimo zimna i deszczu płonęła wewnętrznym pożądaniem; przesunęła dłońmi po jego nagiej piersi i przywarła do niej w gorączkowym oczekiwaniu.

- Wierzysz mi teraz? - spytał stłumionym głosem.

- Pocałuj mnie - odpowiedziała.

Zapamiętali się w pocałunku - zapomnieli o szalejącej nawałnicy. Jedyną burzą, której odgłosy słyszeli, była burza w ich sercach.

I nagle cały świat jakby pojaśniał, a poprzez szum ulewy zaczęło do nich docierać czyjeś nawoływanie.

Jane powoli otworzyła oczy; z cudownej, rajskiej krainy wracała na ziemię.

Z terenowego samochodu, który zatrzymał się nieopodal, wysiadła kobieta i zbliżała się ku nim, mozolnie brnąc po błocie.

- Jestem Celia Shaw - zawołała. - Dzwonił mój mąż z wiadomością, że nadjeżdżacie. Pomyślałam, że możecie potrzebować pomocy. Mój Boże! I naprawdę jej potrzebujecie! - Popatrzyła na zaklinowaną w błocie przyczepę. -

Zabiorę was do domu. Jutro przyślemy tu traktor. - Spojrzała na Jane. - Wszystko w porządku?

- Tak... - Jane mówiła dziwnym, nieswoim głosem. - Tak, wszystko w porządku - powtórzyła. Wiedziała, że gdyby nie nagłe pojawienie się tej kobiety, kochałaby się z Gilem, nie zwracając uwagi na czas i okoliczności. Stateczna, zrównowazona Jane Landers tak bardzo pragnęła tego mężczyzny, że nic by jej nie powstrzymało... Teraz była oszołomiona, wprost nieprzytomna i serce jej śpiewało. On też ją kochał! I jej pragnął! Teraz była tego pewna. Wszystko zmierzało do szczęśliwego zakończenia...

Zabrali z samochodu trochę rzeczy i załadowali do wozu Celi. Gdy ujechali kawałek drogi, światła domu pojawiły się znów.

- One po prostu zniknęły - dziwiła się Jane. - Dlatego się zgubiliśmy.

- Z tamtego miejsca zasłaniają je drzewa - wyjaśniła Celia. - Biedactwa! Musieliście bardzo zmarznąć.

Tak mogłoby się wydawać, ale Jane, czując rękę Gila na swojej dłoni, miała wrażenie, że przepływa przez nią fala rozkosznego ciepła. A gdy spojrzawszy mu w oczy, dostrzegła w nich porozumiewawczy błysk, krew żywiej popłynęła w jej żyłach. Pożądała tego mężczyzny - i wiedziała, że wkrótce zaspokoi swe pragnienie.

Gdy dojechali do domu, Celia Shaw wprowadziła gości do dużej, staroświeckiej kuchni, której kamienna podłoga wyłożona była kolorowymi chodnikami. Panowało tu miłe ciepło i Perry, nie tracąc czasu, rozgościł się na posłaniu białego owczarka.

- Mamy dwie łazienki - poinformowała Celia. - Na górze i na dole. Możecie skorzystać z obu. A potem zapraszam na kolację.

Gdy Jane z oczami lśniącymi szczęściem zeszła na dół. Gil już siedział przy stole, a Perry u jego stóp. Celia podsunęła Jane krzesło i dużą łyżką

wazową nałożyła jej na talerz wspaniale pachnący gulasz z warzywami. Nie skończyli jeszcze jeść, gdy powrócił David Shaw, od progu przepaszając ich za niewygody.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - skwitował Gil.

Zwracał się do gospodarza, ale oczy miał wpatrzone w Jane.

- Już naprawdę nie mogę... - usprawiedliwiała się Jane, patrząc błagalnie na Celię.

- Nie szkodzi - odparła Celia z uśmiechem. - Jest tu ktoś, komu będzie smakować. - Przełożyła resztki na talerz Perry'ego. - Przepraszam za śmiałość - powiedziała, gdy jedzenie natychmiast zniknęło - ale czy właściwie życie to biedne stworzenie?

Jane i Gil skwitowali tę uwagę wybuchem śmiechu.

Kilka chwil później gospodyni zaprowadziła ich na górę, do pokoju położonego na samym końcu długiego korytarza. Niski sufit opierał się tu na drewnianych belkach, a duże podwójne łóżko pokrywała patchworkowa narzuta.

- Dobranoc - powiedziała, zamykając drzwi.

- Tam jest przecież podwójne łóżko - powiedział David, gdy jego zona pojawiła się znów w kuchni. - Może oni woleliby pojedyncze?

- Nie sędzę.

- Skąd wiesz? - zaciekał się.

- Gdy po nich wyjechałam, zobaczyłam ich wcześniej, niż oni zauważyli mnie... - Uśmiechnęła się do męża porozumiewawczo.

- Jesteś pewna, że...

- Całkiem pewna.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jane leżała na ogromnym łóżku i czekała na cud. Gil powoli ułożył się obok, a potem wsparty na łokciach przyglądał jej się z nie skrywanym uwielbieniem.

Rozbierał ją powoli - czule i delikatnie, tak jak zawsze to sobie wyobrażała; potem pogładził ją po twarzy, przesunął palcami po policzku i szyi, wreszcie objął dłonią jej nabrzmiałe piersi.

- Kocham cię - wyszeptał.

Wyciągnęła ramiona na powitanie, on zaś przytulił ją i przycisnął do serca. Z początku doznawała przyjemności pod wpływem subtelnych pieszczot, którymi obsypywał całe jej ciało. Jego oczy i dłonie pełne były miłości, a każdy pocałunek dowodem najwyższej adoracji.

Chwilę później w świadomości Jane zaczęły wybuchać fajerwerki; świetliste płomienie przerażały wprost swym pięknem, a koła wirowały coraz szybciej i szybciej, rozpryskując iskry światła. Potem zaczęły wybuchać rakiety; strzelały w niebo, ciągnąc za sobą długie, błyszczące ogony złożone z tysięcy światełek, które drżały, migotały, by za chwilę na nowo rozbłysnąć. Jane krzyczała ze zdumienia i radości, wyciągając ramiona, jakby chciała je pochwycić. Na koniec pojawiły się eksplozje barw - czerwieni, zieleni, żółci; kolory wybuchały jedno po drugich, szybciej i szybciej - wreszcie zlały się w białe widmo, które ogarnęło ją całą.

A potem wszystko zniknęło. Niebo z powrotem stało się ciemne, Jane zaś poczuła, że spada na ziemię z niezwykłej wysokości. Czekają tam na nią rozpostarte, kochające ramiona Gila.

- Moja najdroższa... - usłyszała czuły głos. - Moja ukochana...

Gdy leżeli szczęśliwi, mocno obejmując się, Jane powiedziała:

- A ja myślałam, że dokładnie wiem, jak będzie wyglądać nasza pierwsza wspólna noc... Myślałam, że zjemy romantyczną kolację przy świecach, a ty dasz mi czerwone róże... Przecież dałeś Sarze czerwone róże, prawda?

Gil roześmiał się z czułością.

- Pewnego dnia i tobie dam czerwoną różę - oświadczył. - Tylko jedną. Będzie skończenie piękna i dostaniesz ją całkiem nieoczekiwanie.

- Uwielbiam niespodzianki. Powiedz o tym coś więcej!

- Wówczas nie będzie to niespodzianka.

- Ale ja chcę wiedzieć... - upierała się.

- Nie ma mowy. - Musnął wargami jej ucho.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i dalsze słowa zamarły jej na ustach.

Następnego dnia traktor wyciągnął przyczepę i przyholował ją pod dom. Od samego rana grzało słońce, ziemia szybko wysychała, gdy więc nadeszła pora przyjęcia, błoto było już tylko wspomnieniem.

Pokaz fajerwerków zakończył się okrzykami zachwytu i burzą dziecięcych oklasków. Córka Davida oświadczyła uroczyście, że przedstawienie było o wiele ciekawsze niż występy iluzjonisty. Gil i Jane, zadowoleni, spędzili kolejną noc u państwa Shaw. Odjechali dopiero następnego dnia.

Nad morzem zatrzymali się na prywatnym polu jakiegoś uprzejmego gospodarza, tuż nad strumieniem. Pierwszy wieczór spędzili w wesołym miasteczku przy plaży. Kupili tam jabłka w karmelowej polewie i śmieszne kapelusze, wygrali na loterii fantowej pluszowe zabawki i odwiedzili gabinet krzywych luster. Potem Gil zabawił się w łowcę plastikowych kaczek pływających w kółko po sztucznym jeziorze. Wyłowił aż trzy i wygrał główną nagrodę - pierścionek z niebieskim oczkiem. Z uroczystą miną ujął dłoń Jane i wsunął jej pierścionek na palec.

- I pomyśleć, że wątpiłaś w moje intencje - powiedział tajemniczym tonem. Ale nim zdążyła spytać, co miał na myśli, zakomunikował autorytatywnie: - Chodźmy napić się tego jasnozielonego napoju, którym rozkoszują się dzieciaki.

Gdy wypili lemoniadę i zjedli cukrową watę, wrócili wreszcie do przyczepy. Kochali się potem do późna w noc, podczas gdy Perry z pasją rozrywał na strzępy pluszowe zabawki.

Następny dzień spędzali leniwie w tym samym uroczym miejscu nad strumieniem.

- I pomyśleć, że to nigdy mogło się nam nie zdarzyć - westchnęła Jane. Siedziała pod drzewem, oparta o Gila, który wystawiał na promienie słońca swą klatkę piersiową.

- To musiało się zdarzyć. Miałem zlecenie...

- Nie chodzi o zlecenie - przerwała. - Chodzi mi o nas. O to, że tak cudownie się odnaleźliśmy.

- Masz na myśli dzień, w którym pojawiłem się w banku?

- Ależ nie! - Uderzyła go żdźbłem trawy. - Zwykle wykazujesz większą domyślność. Mam na myśli tę awanturę, a potem pogodzenie...

- W końcu i tak byśmy się zrozumieli.

- Uważam, że przysłużył się nam David Shaw, pojawiając się tak nieoczekiwanie - upierała się. - Proszę, nie niszczyć moich złudzeń! To ty jesteś od tego, aby wierzyć w radosne niespodzianki.

- A ty jesteś od wiary w zdrowy rozsądek - dopowiedział.

- Och, daj spokój ze zdrowym rozsądkiem! - obruszyła się. - Nie jest wcale potrzebny, gdy życie toczy się tak wspaniale.

- Czy takie życie naprawdę ci odpowiada?

- To jedyny sposób na życie. - Ziewnęła i przeciągnęła się leniwie. -

Chciałabym zawsze tak żyć.

- Z dnia na dzień? Przecież nigdy nie wiadomo, kiedy dostanę następne zlecenie?

- Zawsze dostaniesz pracę, ponieważ jesteś wspaniały - powiedziała z niekłamany podziwem.

- Jesteś bardzo łaskawa.

- Wiesz, już przestaję poznawać siebie - wyszeptała. - Zawsze do czegoś dążyłam, a teraz pragnę próżnować w twoim towarzystwie. Chyba staję się inną kobietą...

- To druga strona twojej osobowości - zauważył. - Cały czas była w tobie, tylko czekała na swoją szansę, by się ujawnić. Zawsze można zacząć od początku, zmienić się i stać się kimś innym.

W głosie Gila zabrzmiała nuta dziwnej powagi. Ale gdy Jane popatrzyła nań z zaciekawieniem, jego oczy były pozbawione wyrazu, zapatrzone daleko przed siebie...

- Powiedziałeś to z wielkim przekonaniem - podjęła.

Popatrzył na nią z nagłą powagą.

- Czy kochałabyś mnie, kimkolwiek bym był? To znaczy... niezależnie od tego, jakie miałbym wnętrze?

- Kocham cię, ponieważ jesteś sobą - powiedziała zaintrygowana.

- A kim ja jestem?

- Gilem Wakehamem.

- Nie, to tylko imię i nazwisko... Zwykła mieszanina dźwięków. Równie dobrze mógłbym nazywać się... Horacy Sproggins. Chodzi o mnie... o moje wnętrze... Czy to ma znaczenie?

- Jesteś mężczyzną, którego kocham - powiedziała z przekonaniem. -

Właśnie twoja osobowość ma dla mnie znaczenie.

Sprawiał wrażenie zadowolonego i odprężonego.

- Pewnego dnia przypomnę ci te słowa - powiedział.

Obdarzyła go ironicznym uśmiechem.

- Szczerze mówiąc, gdybyś nazywał się Horacy Sproggins, mogłoby to stanowić pewien problem...

Wybuchnął śmiechem. Jane przeciągnęła się i znów usadowiła w wygodnej pozycji, oparta o niego plecami.

- Gil, dlaczego nie masz telefonu komórkowego? - spytała po chwili sennym głosem. - Przy twoim trybie życia, byłoby to praktyczne.

- W żadnym razie. - Przybrał zdecydowany wyraz twarzy. - Nie można wówczas uciec od świata.

- Ale przecież ty nie chcesz uciekać od świata - podkreśliła rozsądnie. - Chcesz, aby świat do ciebie dzwonił i składał ci zamówienia.

- Mój świat jest tutaj - powiedział, odwracając się i całując ją w czubek nosa. - Resztę niech diabli wezmą.

- Ale fajerwerki...? - wykrztusiła.

- Fajerwerki też mogą iść do diabła - odparł, muskając wargami jej usta.

Mimo że między sobą doszli do całkowitego porozumienia, sprawy nie toczyły się gładko. Nim odjechali znad morza, Gil zrealizował jeszcze jedno niespodziewane zlecenie. Gdyby otrzymał zapłatę, zarobiłby kolejne kilkaset funtów. Ale zleceniodawca rozplynął się we mgle, a Gilowi pozostała jedynie przykra konfrontacja z jego zaskoczonymi pracownikami. Ponieważ nie miał ani umowy na piśmie, ani czasu, by ścigać oszusta, musiał całą pracę spisać na straty.

Gdy minęła pierwsza złość, również Jane była skłonna puścić wszystko w niepamięć, okazało się jednak, że sprawa miała przykre konsekwencje.

- Skończyły mi się pieniądze - oznajmił Gil. - A muszę uzupełnić materiały... zużyłem wszystko dla tego oszusta.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponowała.

- Poniosłaś już dość wydatków. Kupiłaś większość jedzenia i benzyny.

Nie chcę brać od ciebie więcej.

Ale i tym razem Gil został zmuszony do skorzystania z jej oferty.

Dostawcy zażądali zapłaty kartą kredytową i znów Jane uratowała sytuację.

- Nie martw się - pocieszała go. - Wpadnie ci jeszcze nieraz dodatkowe zamówienie.

- Mam nadzieję. Chcę cię szybko spłacić.

- Zaciśnijmy więc kciuki i módlmy się o cud.

Znad morza pojechali do Delford Manor, wspaniałej posiadłości położonej wśród wzgórz, gdzie miało się odbyć huczne wesele.

- Panna Patrycja Delford ma się połączyć węzłem małżeńskim z Anthonym Ralphem Hamiltonem-Smythe'em - wyjaśnił Gil.

- Smythe pisane przez igrek? - spytała Jane.

- Naturalnie. Będzie więc wszystko jak się patrzy: wytworny bankiet, doskonały szampan, tańce i fajerwerki. Natomiast następnego dnia rano szczęśliwa para wyjedzie na Bermudy. To ślubny prezent dla córki od generała Delforda.

- Czyżbyśmy wygrali los na loterii? - roześmiała się Jane.

- Pożyjemy, zobaczymy - odparł ostrożnie.

Do posiadłości Delfordów wiodła kuta żelazna brama. Strażnik wpuścił ich do środka i pokazał miejsce do zaparkowania. Pół godziny później pojawiła się elegancka kobieta w średnim wieku, przedstawiając się jako pani Delford.

- To moja córka marzyła o fajerwerkach - tłumaczyła z wyraźnie zasmuconą miną. - Cóż, mój mąż niczego nie potrafi jej odmówić. Oczywiście, nie podzielałam jej gustów... No, ale skoro już tu jesteście... - Nagle pani Delford umilkła na widok Perry'ego, który z zaciekawieniem wyglądał przez okno przyczepy. - Co... co to jest? - spytała wstrząśnięta.

- To pies - odpowiedział Gil. - Mój pies.

- Jakim prawem pan go tu przywiózł! - zawołała.

- On nikomu nie zrobi krzywdy - wtrąciła urażona Jane.

- Hoduję bassety - powiedziała pani Delford takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Perry to również basset. - Gil niczego nie pojmował.

- Być może... Ale są różne bassety. Moje zwierzęta mają najlepsze rodowody.

- Skąd pani wie, że Perry nie ma rodowodu? - spytała Jane ogarnięta nagłą złością.

Pani Delford uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Zważywszy, w jakich chowa się warunkach - powiedziała - trudno go o to podejrzewać. W każdym razie to zwierzę nie może mieć kontaktu z moimi pieskami. Zrozumiano?

- Oczywiście - powiedział szorstko Gil.

Jeśli nawet pani Delford zauważyła cień ironii w jego głosie, postanowiła to zignorować.

- Przyślę kogoś, kto wam pokaże teren - powiedziała wyniośle. - Ach, byłabym zapomniała - dodała, ponownie się odwracając. - Wczoraj wieczorem dzwoniła do pana jakaś młoda kobieta. Prosiła, by pan oddzwonił. Właściwie nie powinien pan podawać naszego numeru telefonu...

- Nie podawałem - uciął Gil. - Pozostawiłem tylko wykaz miejsc, gdzie odbędą się pokazy.

- To świetnie, że wie pan, o kogo chodzi, bo prawdę mówiąc, nie pamiętam nazwiska. Może pan skorzystać z telefonu w kuchni. - I odeszła, dumnie unosząc głowę.

- Wyjędźmy natychmiast - powiedziała Jane przez zaciśnięte zęby.

- Dałem słowo, że zrobię tu pokaz, więc muszę go dotrzymać. Bankier powinien to docenić.

- Nie czuję się jak bankier. Czuję się jak służąca.

- To dlatego, że tak wyglądasz - odparł z uśmiechem.

Spojrzała po sobie i dopiero teraz zrozumiała, że miał rację.

Była w przybrudzonych szortach, wymiętej koszulce i sandałach. Miała nie uczesane włosy i opaloną skórę.

- Jak cię widzą, tak cię piszą - powiedział Gil. - Ubierz się jak tramp, a będą cię traktować jak trampa. Włóż frak i białą koszulę, a zaproszą cię na salony.

- Frak i biała koszula? To zupełnie do ciebie niepodobne! - powiedziała z rozbawieniem.

- Nigdy nie wiadomo, co człowiekowi przyjdzie do głowy - odparł enigmatycznie i zniknął we wnętrzu przyczepy.

Kwadrans później odnaleźli kuchnię; Jane napełniła kanistry wodą i wróciła na parking, Gil zaś poszedł zatelefonować.

Pojawił się dopiero po półgodzinie i Jane już z odległości zauważyła, że minę miał nachmurzoną.

- Co się stało? - spytała z niepokojem.

- Nic - uciął krótko. - Zaszło pewne nieporozumienie, ale już wszystko wyjaśniłem. Po drodze spotkałem ogrodnika, który mi pokazał teren...

- Co to za nieporozumienie? - dopytywała się.

- Mówiłem ci, że już nie ma sprawy - odpowiedział poirytowanym tonem.

- W porządku. Nie musisz tak warczeć. Po prostu chciałabym dzielić z tobą twoje problemy...

Objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Przepraszam. Wiesz, jaki nieznośny jestem przed występem. Chodź, pokażę ci, gdzie jutro wystąpimy.

Gdy wrócili do samochodu, czekała tam na nich ładna, młoda dziewczyna.

- Nazywam się Patrycja - powiedziała, wyciągając rękę. Miała przyjemny uśmiech i była w niej otwartość i szczerłość, która zjednywała sympatię. - Chciałam was zaprosić na kolację - ciągnęła. - Mamie zrobiło się przykro, gdy sobie uświadomiła, że całkiem o tym zapomniała... - Nastąpiła niezręczna cisza; Patrycja zarumieniła się lekko. - Mama naprawdę nie chciała wam zrobić przykrości... Bardzo serdecznie zaprasza was na kolację.

- A Perry? - spytał Gil, gestem ręki wskazując na okno, z którego wyglądała zadowolona psia morda.

- Cóż, obawiam się, że będzie musiał tu pozostać - wyjaśniła zbита z tropu Patrycja.

- Uważam, że powinniśmy z nim zostać - wtrącił pospiesznie Gil, a Jane wyraźnie odetchnęła z ulgą. - Rozumiesz, stanowimy zgrany zespół. Zawsze trzymamy się razem. Poza tym, musimy z Jane omówić plany na jutro. W każdym razie proszę podziękować dobrodziejce za uprzejme zaproszenie.

Patrycja, z trudem powstrzymując śmiech, pożegnała się grzecznie i odeszła. Ale pół godziny później usłyszeli pukanie.

- Szampan! - zakomunikowała z wesołą miną, podając im dwie butelki. - Wyniosłam z przyjęcia. W tajemnicy przed mamą! - I nim zdążyli jej podziękować, umknęła.

Wieczór spędzili na omawianiu planu jutrzejszego występu. Oboje odczuwali zmęczenie, więc położyli się wcześniej spać. Jane odniosła wrażenie, że tej nocy Gil kochał się z nią inaczej niż poprzednio. Był namiętny i czuł jak zawsze, ale jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że głowę miał czymś zaprzątniętą.

Gdy później leżeli objęci, zapytał:

- Kochasz mnie, Jane?

- Tak - odpowiedziała natychmiast.

- I ufasz mi, prawda?

- Oczywiście, że ci ufam.

To było zbyt stanowcze oświadczenie, pomyślała po chwili. Właściwie dlaczego zadawał takie pytania? A może...?

Wreszcie udało jej się przestać o tym myśleć. Spała jednak niespokojnie, i po godzinie obudziła się. Cicho wstała z łóżka, wciągnęła dzinsy i bluzę i wymknęła się z przyczepy.

Noc była upojna, rozświetlona jasnym księżycowym blaskiem. Jane spacerowała bez celu po ogrodzie i raptem na zakręcie alei przystanąła. Na wprost, w małym budynku, paliło się światło. Spłoszona, chciała zawrócić, ale usłyszała znajomy głos:

- Kto tutaj jest? - To był głos pani Delford. Generałowa stała w drzwiach i patrzyła na Jane z niepokojem. - Chyba nie przyprowadziła tu pani swego psa?!

- Nie. Wyszłam sama, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Proszę zatem wejść. Właśnie piję herbatę.

Jane znalazła się w luksusowej psiarni. Był tu teraz tylko jeden pies - naprawdę piękny basset hound o przejrzystych, bursztynowych oczach. Pies usiłował wydostać się z zagrody, i zwrócić na siebie uwagę Jane.

- Proszę, wyjdź - powiedziała pani Delford, otwierając drzwiczki. Jane z pewnym zdziwieniem skonstatowała, że generałowa do tej pory siedziała w środku z psem...

- Chwilowo trzymam ją osobno - wyjaśniła pani Delford. - Dzisiaj miała być pokryta, ale nastąpiła nieoczekiwane zwłoka. Właściciel psa może przyjechać dopiero jutro. To dla nas trochę kłopotliwe, ale trudno.

- Jak ona ma na imię? - spytała Jane, głaszcząc uszy suki.

- Lady Tillingforth z Westrock - odrzekła z dumą pani Delford. - Dla mnie po prostu Tilly.

Mówiąc o psie, wyraźnie złagodniała i przez chwilę wydała się Jane całkiem sympatyczna. Odkręciła termos i naląła herbatę do dwóch kubków. Jane usiadła wygodnie na podłodze, a Tilly natychmiast przywarła jej do nóg.

- Zazwyczaj nie łasi się do obcych - powiedziała generałowa z lekkim uśmiechem. - Ma dopiero rok i jest bardzo płochliwa. To będzie jej pierwszy miot.

- Też więc będziesz jutro panną młodą - zwróciła się Jane do Tilly. - A kto jest szczęśliwym narzeczonym?

- Lord Bertram Hannenmere z Marshall Denby - odrzekła z godnością pani Delford. - Chociaż z tego, co wiem, reaguje na imię Bert - dodała zbolalym głosem. - Mam nadzieję, że przynajmniej wołają na niego Bertie...

- Cóż jest niestosownego w imieniu Bert? - zdziwiła się Jane.

- Och, to takie plebejskie zdrobnienie. - Pani Delford skrzywiła się z niesmakiem.

- A on należy do wyższej sfery?

Pani Delford nie pojęła ironii i rozpoczęła wykład z hodowli bassetów. Jane słuchała z przyjemnością. Gdy okazało się, że usługa przyszłego narzeczonego Tilly kosztuje pięćset funtów, wtrąciła:

- Z pewnością jest najlepszy w całej Anglii!

- Szczerze mówiąc, najlepsze są bassety z hodowli Moxworth - przyznała z niechęcią pani Delford. - Trzy psy z tej hodowli zdobyły tytuły championów na dorocznej narodowej wystawie. Za skorzystanie z usług takiego psa płaci się tysiąc funtów. Oczywiście, zapłaciłabym każdą sumę, ale one kryją tylko te suki, które już były medalistkami.

- Co za snobizm! - westchnęła Jane.

- To jedynie ochrona reputacji hodowli Moxworth - pospieszyła z wyjaśnieniem generałowa. - Przyświeca im dewiza, by z każdego miotu wywodził się chociaż jeden champion. Oczywiście, gdy matka ma medalowe geny, jest to wielce prawdopodobne...

- Biedna Tilly - powiedziała Jane, poklepując czule sukę. - Wzgardzona, ponieważ nie ma wystarczająco dużo błękitnej krwi!

Pani Delford spojrzała na Jane z zaciekawieniem.

- Sprawia pani wrażenie osoby wykształconej - zauważyła. - Dlaczego, na litość boską, jeździ pani z miejsca na miejsce z tym podejrzanym człowiekiem?!

- Spędzam w ten sposób wakacje - wyjaśniła uprzejmie Jane. - Na co dzień jestem dyrektorem banku.

Pani Delford nie skomentowała, tylko podejrzliwie uniosła brew. Nie należała do osób, które łatwo było przekonać.

- No cóż - westchnęła, zakręcając termos - chyba lepiej zrobię, jeśli się trochę prześpię, by uspokoić nerwy przed jutrzejszym weselem.

- Czyim? - zażartowała Jane.

Twarz generałowej odprężyla się w uśmiechu.

- Patrycja da sobie radę - powiedziała. - To dziewczyna, która potrafi owinać sobie mężczyznę wokół małego palca. Niepokoję się wyłącznie o moją najśladszą Tilly. Ona potrzebuje opieki. - Pocałowała sukę w czubek głowy i pierwsza opuściła zagrodę, dokładnie zamykając za sobą drzwiczki.

Gdy Jane wróciła do przyczepy, Gil właśnie się obudził.

- Gdzie byłaś? - szepnął, wciągając ją z powrotem do łóżka.

- Wyszłam na spacer i poznałam bezcennego basseta pani Delford, uroczą suczkę Tilly. Jutro też czeka ją wielki dzień... Och, Perry, zejdź! - Pies skakał na nią radośnie. - Co w ciebie wstąpiło?

- Czyżbyś głaskała Tilly? - zaśmiał się Gil.

- Tak. Och, Boże, odejź, Perry. I zachowuj się jutro przyzwoicie. Ta dama to arystokratka. Nie dla psa kiełbasa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nazajutrz Jane długo budziła się z głębokiego snu. Gdy wreszcie uniosła powieki, zobaczyła Gila siedzącego na brzegu łóżka z ołówkiem i kartką papieru w dłoni.

- Nie ruszaj się! - nakazał spiętym głosem.

Leżała spokojnie, aż skończył szkicować.

- Podoba ci się? - spytał, pokazując jej rysunek nagiej kobiety w pościeli.

- Czy naprawdę wyglądam jak kot, który napił się śmietanki? -

powiedziała wesoło.

- Wyglądasz pięknie.

Gil był doprawdy utalentowanym artystą. Rysunek można by zatytułować „Spełnienie”, przedstawiał bowiem kobietę zaspokojoną, emanującą wewnętrzną radością.

- Żałuję, że musimy wstawać - powiedziała, ziewając.

- Jestem już na nogach od godziny - roześmiał się. - Wstawaj, śpiochu!

Był to wspaniały dzień, wymarzony na wesele. Promienie słońca zatrzymywały się na ogromnej markizie, pod którą rozstawiano właśnie stoły na przyjęcie. Furgonetki z kwiatami, jedzeniem i alkoholem podjeżdżały jedna za drugą, a służba nakrywała długie stoły białymi obrusami.

Jane, ignorując protesty Perry'ego, zamknęła go w przyczepie i zaczęła przenosić pudła z fajerwerkami na teren pokazu. Przez następną godzinę ciężko pracowała przy kopaniu dołków pod właściwym kątem i umieszczaniu w nich tekturowych moździerzy. Gil w tym czasie razem z ogrodnikiem wznosił drewniane rusztowanie.

O trzeciej po południu państwo młodzi wraz z rodzicami odjechali do kościoła. Wrócili po dwóch godzinach, za nimi zaś nadciągnęli goście.

- Zjemy kolację i trochę odpocznimy przed pokazem - powiedział Gil.

Zjedli jaja na bekonie przy wtórce dobiegających z ogrodu śmiechów, toastów i przemówień. Jane pomyślała, że gdyby wychodziła za mąż za Kennetha, jej wesele byłoby z pewnością podobne. A wesele z Gilem...? Czy w ogóle będzie jakieś wesele? Mimochodem pogładziła plastikowy pierścionek, który zdobił jej lewą rękę. Gil nigdy nie wspominał o ślubie... Na chwilę wróciło jej wrodzone poczucie rozsądku i zganiła samą siebie za pomysł poślubienia mężczyzny, który nie miał nawet stałego miejsca zamieszkania... Ale zdrowy rozsądek zniknął równie szybko, jak się pojawił - i znów zmarszczyła brwi.

- Zatańczymy? - spytał Gil, eleganckim gestem podając jej ramię, gdy z ogrodu zaczęły dobiegać dźwięki muzyki. - Będziemy potrzebni, dopiero gdy zrobi się całkiem ciemno - pospieszył z wyjaśnieniem.

Przytuleni, tańczyli w rytm wolnej, romantycznie nastrojającej melodii. Jane, widząc w oddali falującą białą suknię panny młodej, zastanawiała się, czy Patrycja jest teraz równie szczęśliwa... Wszystko zdawało się docierać do niej przez jakąś srebrzystą mgłę szczęścia. Jakby z wielkiej odległości zauważyła przyjazd kolejnego samochodu i panią Delford spieszącą mu na powitanie. Z wozu wysiadł mężczyzna w towarzystwie wspaniałego basseta.

- Oto drugi pan młody - powiedziała Jane, przypominając sobie zarazem o Perrym, którego należało wyprowadzić na krótki spacer.

Z niechęcią oderwała się od Gila i podeszła do przyczepy.

- Gil, drzwi są otwarte! - krzyknęła przerażona.

- Niemożliwe, przecież je zamknąłem...

- Przekręciłeś klucz?

Nie odpowiedział. Na drzwiach widać było głębokie ślady psich pazurów; Perry musiał być bardzo zdeterminowany...

- Tylko bez paniki - powiedział Gil. - Znasz go przecież, z pewnością krąży wokół gości i żebrze.

- Miejmy nadzieję, że to prawda. Chodźmy!

Pospieszyli w kierunku markizy, jednocześnie starając się nie rzucać w oczy. Nigdzie nie było śladu Perry'ego. Ale pod długimi, zwisającymi obrusami każdy mógł się ukryć... Nie było rady, musieli dyskretnie zanurkować pod stół. Chwilę później nad ich głowami rozległo się pełne przerażenia zawrodożenie pani Delford, które osiągnęło apogeum, gdy gospodyni dotarła do markizy.

- Mamo, co się stało? - To był głos Patrycji.

- Tilly zniknęła! Wykopała dziurę pod ogrodzeniem... Och, Boże, Tilly, gdzie jesteś, maleńka?

- Byłem przy przyczepie, proszę pani... - To był głos obcego mężczyzny.

- Chyba ci dwoje też zniknęli.

- Porwali moją Tilly! - zawyrokowała generałowa.

- Kochanie, czy nie moglibyśmy tu pozostać, dopóki wszyscy nie rozjadą się do domów? - spytał błagalnie Gil, ukrywając twarz w dłoniach.

- Musimy stawić czoło niebezpieczeństwu! - Jane wzięła go za rękę i wynurzyli się spod stołu niczym para niesfornych dzieciaków.

- Gdzie jest moja Tilly? - napadła na nich pani Delford.

- Nie mamy zielonego pojęcia - odparła spokojnie Jane.

- Zginął również Perry... - wtrącił Gil. - Ale to z pewnością nic nie oznacza...

- Oczywiście, że oznacza! - krzyknęła pani Delford. - Och, moja biedna Tilly! Gdzie jesteś, skarbie...?

- Są tam! - zawołał jeden z gości.

Wszystkie głowy odwróciły się jednocześnie. W odległości kilkunastu metrów, pod drzewem udekorowanym kolorowymi lampionami, radośnie baraszkowali kochankowie.

- Obawiam się, że jest już za późno - powiedział Gil.

Oczy generałowej ciskały błyskawice.

- Zapłacicie mi za to! - oświadczyła tonem zimnym jak lód. - Kto wypuścił tego kundla?!

To była kropla, która przelała puchar. Gil wyprostował się z godnością, po czym oświadczył, nie kryjąc urazy:

- Pragnę panią poinformować, że imię mego psa brzmi Książę Perykles Heyroth Talleyrand z Moxworth. Czwarty!

- Och, doprawdy? - prychnęła pani Delford z nie skrywaną ironią. - Z pewnością wymyśliście to wczoraj w nocy!

- Nie powtarzałam Gilowi naszej rozmowy - obruszyła się Jane.

- Nie wierzę ci, moja droga. Jeśli to... zwierzę pochodzi z hodowli Moxworth, to ja jestem królową Saby!

- A zatem, jeśli Wasza Królewska Mość zechce chwilę poczekać - wtrącił uprzejmie Gil - przyniosę papiery Peryklesa.

Poszedł prosto do przyczepy, pozostawiając Jane na łasce towarzystwa. Patrycja z wyraźnym współczuciem wcisnęła jej w dłoń kieliszek szampana. Dla Jane były to najbardziej nieprzyjemne minuty w życiu. Pani Delford raz po raz rzucała jej piorunujące spojrzenia, właściciel Berta miał wielce urażoną minę, sam zaś Bert rozglądał się wokół całkowicie dezorientowany.

Na szczęście Gil wkrótce wrócił z dokumentami, na widok których na twarzy pani Delford nastąpiła gwałtowna zmiana. Jane wstrzymała oddech. Ale pani Delford ulepiona była z twardej gliny i nie poddawała się łatwo.

- To nie ten sam pies - oświadczyła. - Nie może być.

- Proszę przeczytać dokładny opis i porównać go z Perrym -
podpowiedział Gil, przywołując psa.

Perry przybiegł radosnymi susami, a za nim podskakiwała adorująca go Tilly. Pani Delford przyglądała mu się uważnie, zerkając co chwila do papierów. Wreszcie podniosła zdumiony wzrok.

- Ale jak to się mogło stać...?

- To już nie ma znaczenia - wtrąciła szybko Jane. - Najważniejsze, że spełniło się pani najskrytsze marzenie. Teraz pozostaje nam tylko porozmawiać o kosztach...

- Co takiego?

- Tysiąc funtów, o takiej cenie pani wspominała? - ciągnęła rezolutnie Jane. - Zważywszy wartość szczeniąt, zwróci się to pani z nawiązką.

- Ale przecież ustaliliśmy stawkę za Berta! - włączył się właściciel drugiego psa.

- On przecież nic nie zrobił - zaprotestowała pani Delford.

- To nie jego wina, że się spóźnił...

- Oczywiście, Bert musi również dostać zapłatę - wtrąciła Jane pojednawczo. - Biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, pan Wakeham skłonny jest podzielić się pieniędzmi na pół.

- Zgadza się pan? - spytała generałowa, patrząc podejrzliwie na Gila.

- Decyzja należy do mojego doradcy finansowego - powiedział z uśmiechem, wskazując na Jane.

- W geście dobrej woli - dodała Jane - pozwalamy, aby nasz cenny pies spędził z Tilly więcej czasu.

Twarz pani Delford promieniała szczęściem. Zewsząd dobiegały radosne okrzyki i śmiechy. Patrycja poczęstowała wszystkie psy weselnym tortem. Wreszcie ktoś sobie przypomniał o zapowiadany pokaz sztucznych ogni.

Pani Delford wzięła Tilly na rękę, nim jednak odeszła, spojrzała Jane prosto w oczy.

- Naprawdę jest pani dyrektorem banku?

- Tak - potwierdziła Jane, nie kryjąc uśmiechu.

Dotąd żaden pokaz nie był tak wspaniały. Gil skoncentrował się na białych i srebrnych kolorach, od czasu do czasu dodając intensywną barwę, aby uniknąć monotonii. Finał zaś był olśniewający - na niebie pojawiły się dwa splecione serca. Na ten widok goście poderwali się z miejsc, wydając radosne okrzyki.

Po pokazie przyjęcie dobiegło końca. Jane i Gil w doskonałym nastroju, objęci ramionami, udali się wolnym krokiem do swojej przyczepy.

- Byłaś wspaniała - powiedział Gil. - W jednej chwili rozwiązałaś wszystkie nasze problemy.

- Gdybym znała koligacje rodzinne Perry'ego, zrobiłabym to wcześniej - zapewniła. - Teraz nie powinno ci już brakować pieniędzy. Perry na wszystko zarobi. Nie sądzę zresztą, by miał coś przeciw temu.

- Z pewnością. Ale ja wolałbym odnieść sukces dzięki fajerwerkom... i tylko dzięki nim...

- Skąd ten upór?

Nie odpowiedział. Później w nocy, gdy przytuleni do siebie szykowali się do snu, zaśmiał się cicho i szepnął:

- Wiesz, najbardziej irytuje mnie fakt, że ten pies w dziesięć minut zarobił więcej pieniędzy, dobrze się przy tym bawiąc, niż ja przez cały tydzień ciężkiej pracy.

Podczas całej podróży Jane regularnie telefonowała do swojej babki. Ale rzadko udawało jej się zastać Sarę w domu. Oczywiście, babcia nadal wiodła wesołe życie towarzyskie...

Gdy tylko opuścili Delford Manor i zatrzymali się na kolejnym postoju, Jane znalazła budkę telefoniczną i znów zadzwoniła. Tym razem dopisało jej szczęście; Sara od razu podniosła słuchawkę. Głos jednak miała lekko rozdrażniony.

- To wszystko przez Kennetha - tłumaczyła. - Odwiedził mnie dzisiaj i całą godzinę marudził, że potrzebujesz ratunku przed samą sobą i tak dalej... Prosił, byś zadzwoniła do niego natychmiast, w bardzo pilnej sprawie, jak to ujął.

- Prawdopodobnie to nic pilnego - wtrąciła posepnie Jane.

- Właściwie, kochanie... - Głos Sary zdradzał pewne zakłopotanie. - Cóż, byłam chyba trochę niedyskretna, ale powiedziałam mu, że pożyczyłaś Gilowi pieniądze...

- Och, Saro, jak mogłaś! - Jane była niepokieszona.

Gdy skończyła rozmowę z babką, po chwili wahania zadzwoniła do Kennetha.

- Dzięki Bogu, to ty! - odetchnął z ulgą. - Odchodzę od zmysłów, że jesteś gdzieś sama z tym człowiekiem...

- Kenneth, proszę cię, nie obrażaj Gila!

- To poważna sprawa, Jane - tłumaczył. - Przeprowadziłem małe śledztwo na temat twojego dziwnego przyjaciela...

- Jak mogłaś! - przerwała mu ze złością.

- Ktoś z nas musi działać odpowiedzialnie. Skoro więc ty chwilowo straciłaś głowę... Czy wiesz, moja droga, że pan Gil Wakeham... w ogóle nie istnieje? Nie figuruje w spisie ludności!

- Pewnie źle szukałaś - powiedziała dobitnie. - On stale podróżuje, więc być może...

- Posłuchaj, Jane - przerwał jej szybko. - Dotarłem do jego dostawców. Oni również nic o nim nie wiedzą. Zawsze płaci gotówką, nie posiada karty kredytowej. Żadnej! Rozumiesz, co to oznacza?

- Mówisz tak, jakby był przestępcą! - rozzłościła się.

- Na litość boską, Jane, jako bankowiec, wiesz przecież, że człowiek godny zaufania musi posiadać papiery, rachunek w banku, jakiś adres! Otwórz wreszcie oczy! On używa fałszywego nazwiska. Być może całkiem niedawno opuścił więzienie!

- Nie wierzę - powiedziała stanowczo. - Nie wierzę!

- Jane, to zwykły oszust. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Zobacz, jak zawrócił ci w głowie. Właśnie tak działają oszuści. Będziesz miała kłopoty, gdy w banku odkryją, że pożyczyłaś mu pieniądze.

- Bank nigdy się o tym nie dowie. To były moje własne pieniądze!

- Ach, więc to tak! - rzucił z pogardą Kenneth. - Wyłudza pieniądze od naiwnych kobiet! Założę się, że nie dostaniesz z powrotem ani pensa. A gdy pieniądze wam się skończą, on sam zniknie jak kamfora!

Jane była niebezpiecznie bliska utraty panowania nad sobą. Resztkami sił powstrzymała się od wybuchu. Kenneth miał dobre intencje... Nie wiedział przecież nic o rakietach, które eksplodowały, gdy była w ramionach Gila...

- Nie martw się o mnie, Kenneth - powiedziała łagodnie. - Znam Gila bardzo dobrze i całkowicie mu ufam.

- Właściwie, co o nim wiesz? - nie dawał za wygraną.

- Wszystko, co ma znaczenie - odrzekła buntowniczo.

- Wiesz, skąd pochodzi, czy ma rodzinę, krewnych? Nie sądzę, byś cokolwiek wiedziała. A może jest żonaty?

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczyła gwałtownie.

- Nie możesz tego sprawdzić, skoro posługuje się fałszywym nazwiskiem. A co z tym kundlem, którego widziałem w jego samochodzie? Jemu też ufasz?

Jane mimo woli wybuchnęła śmiechem.

- Perry nie jest kundlem! - zaprzeczyła żywo. - Jest rasowym bassetem i ma wspaniały charakter! Naprawdę. Nazywa się Księżę Perykles Heyroth Talleyrand czwarty z Moxworth.

- A skąd taki podejrzany typ jak Gil Wakeham ma rodowodowego psa? - Kenneth znów parsknął. - Z pewnością pies jest kradziony.

- Gil ma jego papiery! - obruszyła się Jane.

- I czyje nazwisko w nich figuruje?

- Nie wiem - poddała się. - Przypuszczam, że jego...

- Sama widzisz. Powtarzam ci, nic o nim nie wiesz, Jane!

- Do widzenia, Kenneth - rzekła stanowczo i odwiesiła słuchawkę.

Gdy wróciła do przyczepy, Gil przyrządzał kolację.

- Długo cię nie było - zauważył.

- Musiałam zadzwonić do Kennetha i wysłuchać jego ostrzeżeń na twój temat - powiedziała szczerze.

- Cóż takiego się dowiedziałeś? - uśmiechnął się szeroko.

- Że właśnie wyszedłeś z więzienia, a Perry jest ukradziony.

Roześmiał się tak gwałtownie, że omal nie upuścił patelni.

- Uwierzyłaś mu?

- Oczywiście, że nie - powiedziała zapalczywie, a potem dodała w zamyśleniu: - Jesteś jednak tajemniczy, Gil. Nigdy nie wspominasz o swojej rodzinie ani przyjaciółach...

- Wiesz o mnie wszystko, co ma znaczenie - powiedział i pocałował ją przelotnie.

Jego słowa były echem tych, które chwilę wcześniej wypowiedziała do Kennetha. Nagle doznała wrażenia, że zadźwięczała w nich jakaś fałszywa nuta...

Nazajutrz wydarzyło się coś, co przekonało ją, że naprawdę niewiele wiedziała o swym kochanku. Szukając czegoś w szufladzie, przypadkiem natknęła się na notes Gila, w którym zapisywał szczegóły swych transakcji finansowych. Widniała tam między innymi pożyczka, jaką u niej zaciągnął. Odruchowo przerzucając strony, zauważyła, że rachunki prowadzone były z niezwykle skrupulatnością, obcą naturze Gila. Nagle dostrzegła adnotację, która ją zaintrygowała. Rok temu Gil również zaciągnął pożyczkę w wysokości trzech tysięcy funtów. Spłacił ją, chociaż wpłaty nie były regularne. Do końcowej sumy zostały dopisane procenty. Ich wysokość wprowadziła ją w osłupienie.

- No i co o tym sądzisz? - usłyszała głos Gila i zarumieniła się, zażenowana.

- Nie chciałam szperać w twoich rzeczach, ale... - zająknęła się. - Ale, jeśli mam być szczerą, ten człowiek, który w ubiegłym roku pożyczył ci pieniądze, to oszust!

- To jedyny gość, który w ogóle chciał ze mną rozmawiać. - Gil roześmiał się głośno, patrząc na wzburzoną twarz Jane. - To cieszący się szacunkiem makler - dodał. - W City ma dobrą opinię.

- Napisałeś tu Dane... Słyszałam o firmie maklerskiej Dane i Syn...

- To właśnie syn.

Patrzyła na niego w skupieniu.

- Przyjaźnisz się z maklerem giełdowym?

- Przyjaźń to zbyt wielkie słowo. Nie lubię go.

- Trudno się dziwić, to oszust - powtórzyła z uporem.

- Nie oszust, tylko człowiek, który na wszystkim chce zarobić pieniądze.

- Gra na giełdzie mu nie wystarcza? Musi jeszcze na boku udzielać lichwiarskich pożyczek?

- Właściwie tylko mnie jednemu pożyczył pieniądze. I też miał opory. W gruncie rzeczy on mnie nie lubi... Uznajemy inne wartości. On jest jak drapieżnik. Wychował się w finansowej dżungli i dobrze się tam czuje. Chyba dlatego niezbyt z niego miły gość. Na szczęście wyrwałem się już z jego pazurów.

- Mam nadzieję. Gdzie w ogóle go poznałeś?

- Chodziliśmy do tej samej szkoły - rzekł pospiesznie, jakby chciał wreszcie zamknąć temat.

Jane usiłowała zrozumieć sprzeczności tkwiące w Gilu. Sara powiedziała, że miał dobry gust... Czyżby jego rodzice byli kiedyś zamożni, posyłali go do drogiej szkoły, a później dotknęła ich katastrofa? To by wiele wyjaśniało. Odwróciła się gwałtownie, by zadać więcej pytań, ale Gil niepostrzeżenie opuścił przyczepę.

Pokaz, który zaprezentowali tego wieczoru, to była, zgodnie z obietnicą Gila, prawdziwa bomba! Nie zdradził nawet Jane, co takiego szykuje, ale spędził mnóstwo czasu na montowaniu rusztowań ze sztucznych ogni.

- Idź i stań z przodu - powiedział, gdy nadszedł czas finału-niespodzianki.

- Powiesz mi, jak to wypadło.

Posłusznie wmieszała się w tłum widzów, akurat w momencie, gdy na niebie pojawił się obraz...

Jane przyglądała mu się z otwartymi ustami i urazą w sercu.

Na niebie pojawiła się kobieta w na wpół leżącej pozycji. Gil zasugerował, że była naga, choć nie pokazał tego zbyt wyraźnie. Była to wierna kopia szkicu, który Gil narysował kilka dni temu...

- Powinam cię zastrzelić, Gilu Wakehamie! - rzuciła mu w twarz, gdy nareszcie zostali sami.

- Za to, że złożyłem ci hołd? - spytał z miną niewiniątka.

- Hołd! - prychnęła.

- Ależ tak. Byłaś wówczas tak nieziemsko piękna, że zapragnąłem, aby cały świat cię podziwiał. Oczywiście, z pewnej... bezpiecznej odległości.

Figlarne iskierki w jego oczach rozbroiły ją do reszty.

- Dlaczego nie potrafię się na ciebie złościć? - powiedziała bezradnie.

- Ponieważ mnie uwielbiasz.

- Jesteś zarozumiałcem! - Przytuliła się doń, ale nim zdążyła odwzajemnić jego uścisk, dobiegł ich nieznajomy głos.

- Jest tu kto? - Głos należał do mocno zbudowanego mężczyzny w średnim wieku o jowialnym wyrazie twarzy. - Joe Stebbins - przedstawił się, wyciągając pulchną dłoń. - Oto moja wizytówka. - Wynikało z niej, że Joe Stebbins zajmował się organizacją dużych imprez rozrywkowych. - Daliście świetne przedstawienie - ciągnął z entuzjazmem. - Mógłbym włączyć ten pokaz do kilku moich imprez. To dobry sposób na finał.

- Czy to znaczy, że oferuje mi pan pracę? - ożywił się Gil.

- Mnóstwo pracy! Pokazuje pan oryginalne rzeczy. Ta kobieta wśród gwiazd, to był naprawdę znakomity pomysł. Proszę, oto mój adres. Na razie wyjeżdżam na dwa tygodnie, ale napiszcie do mnie i podajcie aktualne miejsce pobytu. Będę miał dla was mnóstwo zamówień. Dobrze zapłacę... A tymczasem dobranoc! - I zniknął, pozostawiając Jane i Gila wpatrzonych w wizytówkę.

- Nareszcie! - zawołał uradowany Gil. - Przełom! Jeśli współpraca ze Stebbinsem dojdzie do skutku, to będzie oznaczać, że mi się udało. A wtedy... - Popatrzył na Jane, jakby zastanawiał się, czy powinien dokończyć zdanie.

- A wtedy? - spytała z nadzieją w głosie.

- A, wtedy wiele się zdarzy - dokończył zagadkowo. - Razem przygotujemy pokaz... najlepszy, jaki kiedykolwiek zrobiono. A potem razem go zaprezentujemy!

- Razem - powtórzyła zadowolona.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jane wprost nie mogła uwierzyć, że wakacje już się skończyły, kiedy pewnego czwartku późnym popołudniem zajechali przed jej dom.

- Było cudownie - powiedziała z żalem.

- Tak... Zadzwoń do ciebie, jak tylko wrócę.

- Dokąd musisz jechać?

- Powiem ci innym razem... - Stanowczym ruchem wziął ją w ramiona.

Pod naporem jego warg zadrżała, a w jej myślach zapanował chaos.

Potem zaniósł jej bagaże pod drzwi windy, jeszcze raz pocałował ją w przelocie i już go nie było. Obserwując go, jak odchodził, czuła tępy ból w sercu.

Powrót do pracy, do spokojnego, ustabilizowanego rytmu dnia, który jeszcze tak niedawno bardzo jej odpowiadał, kosztował ją teraz wiele wysiłku. Czuła, że pod wpływem Gila stała się zupełnie inną osobą. Przebywała w niebie, rozmawiała z gwiazdami... Nic już nie będzie takie samo.

Gil dzwonił codziennie; czułe, miłosne słowa brzmiały pocieszająco, ale ani razu nie określił daty powrotu... W sercu Jane pojawił się cień wątplenia.

Pewnego ranka, gdy upłynął już tydzień od jej powrotu, Jane znalazła na biurku informację, że Henry Morgan we własnej osobie odwiedzi ją o jedenastej.

W obecności swego szefa - jednego z dyrektorów zasiadających w zarządzie banku - Jane zawsze czuła się nieswojo. To z pewnością z powodu wakacji, pomyślała. Ale przecież pozwolił jej wziąć cztery tygodnie urlopu... Tak czy owak, pojawianie się Morgana było złowieszczym znakiem.

Punktualnie o jedenastej wszedł do jej gabinetu mężczyzna w średnim wieku, o szczupłej, ascetycznej twarzy.

- Witamy w domu, panno Landers. - Na twarzy Henry'ego Morgana zamiast zwykłej chłodnej rezerwy malował się szczery uśmiech. - A może powinienem od razu złożyć pani gratulacje?

- Gratulacje, panie Morgan? - Jane była całkiem zbita z tropu.

- Och, wiem, że pani metody nie są konwencjonalne, ale musimy iść z duchem czasu, jeśli pragniemy osiągnąć zyski. Z podziwem obserwowaliśmy, jak sprytnie pracowała pani nad schwyтaniem grubej ryby.

- Jakiej grubej ryby...? - zdumiała się szczerze.

- Mówię o firmie Dane i Syn. Chyba nie zamierza pani twierdzić, że nigdy o niej nie słyszała?

- Oczywiście, że słyszałam... To jedna z największych firm maklerskich w Londynie. Ale co to ma wspólnego ze mną?

- I mnie pani pyta, spędziwszy miesiąc z jej właścicielem?

- Słucham...?

- Gilbert Dane, syn, a zarazem współwłaściciel firmy.

- Nie znam Gilberta Dane'a. Spędziłam wakacje w towarzystwie Gila Wakehama...

- Wakeham to, o ile pamiętam, panińskie nazwisko jego matki. Czyżby go używał? Och, to interesujące.

- Musiała zajść jakaś pomyłka - powiedziała stanowczo Jane, ale nagły natłok wspomnień wprowadził ją w zakłopotanie. Gil nigdy nie mówił o

przeszłości, o swojej rodzinie... A znajomość spraw finansowych dziwnie kontrastowała z jego osobowością! I ta pożyczka od maklera o nazwisku Dane... Och, czyżby to była prawda?

- Rozumiem, prosił panią o zachowanie dyskrecji - ciągnął Morgan. - Ale takiej tajemnicy nie da się przecież utrzymać w nieskończoność. Dane i Syn wydają dziś wieczór duże przyjęcie. Chciałbym, aby pani poszła tam ze mną. Jeśli naprawdę myślą włączyć nasz bank do swoich interesów, powinniśmy pokazać się na przyjęciu. - Zaczął czegoś szukać w teczce. - Przyniosłem trochę wycinków prasowych, które znajdowały się w bibliotece zarządu - wyjaśnił. - Proszę je przejrzeć. Przyjadę po panią o siódmej.

Wyszedł, pozostawiając Jane oniemiałą z wrażenia. Wpatrywała się kilka minut bezmyślnie w okładkę tekturowej teczki, nim wreszcie zdecydowała się ją otworzyć.

Była tam między innymi fotografia Gila - młodszego nieco, z krótko obciętymi włosami i w tradycyjnym garniturze. Do licha, to naprawdę był Gil!

Z rosnącym gniewem czytała jego życiorys; pochodził z takiej samej jak ona - szacownej, konwencjonalnej rodziny, która wydała wielu świetnych prawników i finansistów. A więc pod maską kłowna i anarchisty skrywał się poważny, stateczny obywatel - w dodatku jeden z najbystrzejszych finansistów w City!

- Zdrajca! - wyjąkała. - Dwulicowy krętacz! Intrygant! Skończył nawet studia ekonomiczne...

Autor artykułu długo rozwodził się nad zdolnościami i niezwykłymi metodami, jakimi posługiwał się w pracy Gilbert Dane... Słowa tańczyły Jane przed oczami. Bezlitosny... drapieżny.... Człowiek, którego należało się obawiać... Oto, kim był prawdziwy Gil!

W następnym artykule opisywano życie prywatne Gila, jego luksusowe mieszkanie w Londynie, wyszukane gusta... Jane mocno ścisnęła papier w dłoni. Jedno było pewne - on wcale nie potrzebował pieniędzy. Dwa tysiące funtów, które wyprosił u niej w tak rozbijający sposób, były dlań drobną sumą.

Odwróciwszy stronę, Jane natknęła się na jeszcze jedną fotografię. Została zrobiona podczas jakiegoś przyjęcia. Gil w smokingu, ze szklanką szampana w dłoni, śmiał się w gronie przyjaciół, zaś u jego boku stała kobieta w wieczorowej sukni. Podpis pod zdjęciem nie pozostawiał wątpliwości. Gilbert Dane i jego piękna narzeczona, Constance Allbright, córka rekin finansowego, Briana Allbrighta, lada chwila połączą się węzłem małżeńskim...

Jane wypuściła gazetę z ręki. A więc Gil był zaręczony... Może nawet żonaty?! Zabawił się nią w bezlitosny, cyniczny sposób... Zapewne śmiał się z niej przez cały czas...

Ale dlaczego?! - krzyczało jej serce. Po co?!

Czyż miało to jednak znaczenie? Stała się ofiarą igraszki okrutnego, zimnego drania... Gdy minął pierwszy szok, zaczęła w nią wstępować furia. Nie mogła się doczekać nadchodzącego wieczoru.

O siódmej była gotowa do wyjścia. Na elegancką czarną suknię, która podkreślała jej jasną karnację i blond włosy, narzuciła czarną, aksamitną pelerynę. W jej uszach połyskiwały małe diamentowe kolczyki. Bardzo pragnęła wyglądać lepiej niż zazwyczaj i osiągnęła cel.

Henry Morgan jednym spojrzeniem wyraził swą aprobatę. Prowadząc Jane do samochodu, szepnął jej do ucha, że jest prawdziwą dumą Banku Kellsa, a potem przez całą drogę wyliczał korzyści, jakie bank uzyska, dzięki inwestycjom firmy Dane i Syn.

Przyjęcie odbywało się w luksusowym hotelu, w samym sercu Londynu. Gdy przyjechali, wielka sala pełna już była ludzi. W lustrach zawieszonych na ścianach odbijały się setki roześmianych twarzy.

Jane, choć pękało jej serce, podniosła głowę do góry i z przyklejonym do ust uśmiechem zaczęła swobodnie witać się z gośćmi.

Gdy tłum się rozstał, zobaczyła Gila. Nie był to jej Gil - mężczyzna, który śmiał się z nią, kochał i sprawiał, że serce jej śpiewało. To był Gil z fotografii - porządnie uczesany, ubrany w smoking i muszkę. U jego boku wisiała Constance Allbright. Śmiała się donośnie i tak zamasyżuje gestykulowała rękami, że zgromadzeni wokół musieli mocno ścisnąć kieliszki. Miała na sobie długą, przeładowaną ozdobami i biżuterią suknię z zielonego atłasu. Ale klejnotem, który przykuł uwagę Jane, był pierścionek zaręczynowy na jej lewej dłoni.

Jane ze wzrokiem utkwionym w Gilu stała nieruchomo i czekała, aż ją sam zauważy. Odwrócił wreszcie głowę, jakby przyciągnięty jej spojrzeniem, a wtedy twarz jego zrobiła się blada jak marmur. Dłuższą chwilę stali, patrząc na siebie nieruchomym wzrokiem. Wreszcie Gil postąpił do przodu.

- Jane... - szepnął dramatycznym tonem.

- Dobry wieczór, panie Dane - odparła zimno. - Uroczę przyjęcie, nieprawdaż? Wielki sukces. Ale, jak rozumiem, sukces wieńczy wszystkie przedsięwzięcia firmy Dane i Syn.

- Jane, proszę - powiedział błagalnie. - Nie wydawaj sądu, nim mnie nie wysłuchasz. Musimy znaleźć jakieś miejsce i porozmawiać... Nie chciałem, byś dowiedziała się w ten sposób.

- Przyznaj, że w ogóle nie chciałeś, bym się dowiedziała!

- Nieprawda! - zaprzeczył gorączkowo. - Chciałem ci powiedzieć, ale...

- Zadziwia mnie pan, panie Dane! - zadrwiła.

- Tak mi przykro, Jane. Nigdy nie zamierzałem cię oszukać. Sprawy wymknęły mi się z rąk. Proszę, daj mi szansę wszystko wyjaśnić.

- Nie pozwolę wystrychnąć się drugi raz na dudka - powiedziała ze złością, a widząc, że podchodzi do nich Constance, dodała ze sztuczną wesołością: - Musisz przedstawić mnie swojej uroczej narzeczonej, a może już żonie...?

- Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem - wyjaśniła z uśmiechem Constance.

- Pewna jednak jestem, że wkrótce to nastąpi - rzuciła radośnie Jane. - Mężczyzna, który kupuje taki wspaniały pierścionek zaręczynowy, musi być niezwykle zakochany.

- Prawda, że jest piękny? - upewniała się Constance. - Kochany Gilbert powiedział, że nic nie jest dla mnie zbyt dobre... - Popatrzyła na Jane z zaciekawieniem. - Jestem Connie Allbright, a pani...?

- Jane Landers, dyrektor oddziału Banku Kellsa.

- Och, rzeczywiście, teraz kobiety bywają nawet dyrektorami banków! - Constance zachichotała, przyglądając się Jane jak zjawie nie z tego świata. - Gil opowiadał mi, że poznał kilka takich... dziwnych kobiet, prawda, kochanie?

- Nieprawda - powiedział stanowczo Gil. - Musiałaś mnie źle zrozumieć.

- Przecież zawsze się doskonale rozumiemy, kochanie.

- Connie... - Twarz Gila zeszywniała ze złości.

- Proszę, pozwól panie Allbright mówić - wtrąciła Jane. - To niezwykle interesujące. - Spojrzała Gilowi prosto w oczy. - I pouczające...

Gil wciągnął gwałtownie powietrze, ale nim przemówił, pojawił się u jego boku starszy mężczyzna. Gil był do niego uderzająco podobny, toteż Jane nie zdziwiła się wcale, gdy przedstawił go jako swego ojca. Zamienili kilka zdawkowych słów, po czym Dane senior odciągnął syna na bok, aby porozmawiać, pozostawiając Jane samą z Connie.

- Kochany Gil - mówiła Connie - nie przepada za takimi przyjęciami, ale ja twierdzę, że to nasz towarzyski obowiązek.

- Z pewnością Gil liczy się z pani zdaniem - wtrąciła uprzejmie Jane.

- Och, oczywiście. Przecież razem dorastaliśmy i znam go doskonale.

Często mówię mu rzeczy, których nie zaakceptowałby, gdyby usłyszał je od innych.

- Nie wątpię, że to prawda - przyznała Jane.

- Ostatnio na przykład żartowałam z niego, że jest w czepku urodzony.

Gil ma kosztowne upodobania, ale nigdy nie zabrakło mu pieniędzy, żeby je spełniać. Pewnego razu spytałam go, jak dałby sobie radę bez rodzinnego zaplecza. I nie uwierzy pani, co on zrobił! Postanowił rozkręcić własny interes, nie korzystając z rodzinnych pieniędzy! Och, zachował się jak średniowieczny rycerz, który pragnie popisać się przed damą swego serca.

- Doprawdy? - powiedziała Jane bezbarwnym głosem.

- Jeździł po kraju jakimś starym gruchotem - ciągnęła Connie z triumfem - i dawał pokazy fajerwerków! Czy to nie romantyczne?

- Niebywale - przyznała głucho Jane.

- Bo Gil, choć na to nie wygląda, w głębi duszy jest prawdziwym romantykiem - ciągnęła Connie. - Oczywiście, dzwoniłam do niego przez cały czas, żeby dodać mu odwagi...

Jane prawie nie słuchała, kiwała bezwiednie głową, a w sercu jej szalała burza. Na szczęście Henry Morgan był w drugim końcu sali i nie mógł widzieć gniewu tak wyraźnie malującego się teraz na jej twarzy. Z pewnością chwalił ją za to, że złapała grubą rybę. Och, a ona przecież zrobiła z siebie kompletną idiotkę!

- On jest taki sentymentalny - paplała dalej Connie. - Nalegał, by zabrać mojego psa...

- Psa? - Jane nadstawiła uszu.

- Peryklesa. Dostałam go od Gila w prezencie zaręczynowym...

Jane czuła, że oszaleje, jeśli dłużej będzie zmuszona tego wysłuchiwać. Na szczęście Henry Morgan odciągnął ją w porę do innego towarzystwa i jakimś cudem udało jej się wytrwać do końca wieczoru.

Gil już więcej do niej nie podszedł. Widziała go jeszcze kilka razy, zawsze z Connie uczeptioną jego ramienia.

W drodze do domu Henry Morgan oświadczył tonem najwyższej aprobaty:

- Dobra robota, panno Landers! Firma Dane i Syn ma zamiar dużo zainwestować w naszej okolicy. Kilka miejscowych zakładów przemysłowych zwróciło ich uwagę.

- To znakomicie - powiedziała Jane. - Ale co to ma ze mną wspólnego?

- Zabrzmiało to tak, jakby pani tego wcale sobie nie życzyła.

- W Wellhampton jest przecież drugi, większy oddział naszego banku - wyjaśniła. - Z pewnością Dane i Syn zwróci się do nich.

- Być może, ale sędzę, że właśnie teraz doczeka się pani owoców swej odważnej inicjatywy. Nie zaprzeczam, że miałem pewne wątpliwości, gdy mianowano panią na to odpowiedzialne stanowisko, ale udowodniła pani, że się myliłem. Naprawdę dobra robota. Mam wrażenie, że pani zawodowa przyszłość rysuje się różowo. Bardzo różowo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na biurku Jane zadzwonił telefon.

- Słucham? - Gwałtownym ruchem podniosła słuchawkę.

- To znów on - powiedziała sekretarka.

- A więc dlaczego mi przeszkadzasz? Powiedziałam, że nie odbieram telefonów od pana Dane'a.

- On nie przyjmuje tego do wiadomości. Od dwóch dni dzwoni co pół godziny... Teraz prosił, żeby przekazać...

- Nie chcę tego słyszeć!

- Powiedział, że Perry usycha z tęsknoty za panią.

- Powiedz mu, że Perry jest takim samym oszustem jak jego pan! - rzuciła gniewnie i odłożyła słuchawkę.

Bała się, że Gil natychmiast zadzwoni, tak jak to robił podczas ostatnich dwóch dni - ale na szczęście telefon milczał.

Postanowiła wykreślić Gila ze swego życia. To, co wydarzyło się między nimi, było szaleństwem, które musiała wymazać z pamięci...

Sara, oczywiście, nie podzielała jej zdania.

- Nie powinnaś osądzać biednego Gila, całkiem pozbawiając go szansy obrony - tłumaczyła wnuczce.

- On wcale nie jest biedny! - broniła się Jane. - Oszukał mnie.

Przez kolejne dwa dni nie zadzwonił. Dobrze, że wreszcie nabrał rozumu, myślała. Czowała piekący ból w sercu, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

Zatelefonował natomiast Henry Morgan.

- Przed chwilą odbyłem długą rozmowę z Alexem Dane'em - oznajmił. - Chce się z nami spotkać. Powiedziałem mu, że dziś o trzeciej po południu będzie pani mogła go przyjąć.

- Oczywiście. Mam przyjechać do biura zarządu?

- Nie, on woli przyjechać do Wellhampton i, moim zdaniem, ma rację.

Myślałem, że będę uczestniczył w rozmowie, ale wypadło mi ważne spotkanie. Jestem jednak pewien, że doskonale sobie pani poradzi.

Jane z mieszanymi uczuciami odkładała słuchawkę. Rozmowa z ojcem Gila może być trochę krępująca... Wiedziała, że jeśli osiągnie sukces, czeka ją dalsza, błyskotliwa kariera. Dlaczego jednak ta myśl już nie podniecała jej wyobraźni?

Za pięć trzecia posprzątała papiery na biurku i była gotowa.

- Pan Dane - obwieściła sekretarka.

Jane z uniesioną głową i przyklejonym do ust uśmiechem spojrzała w stronę drzwi. Ale uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

- To ty! - niemal krzyknęła. - Jak śmiałeś?

- Przecież jestem umówiony na trzecią - rzekł spokojnie.

- Miał przyjść Alex Dane - powiedziała ze złością.

- Poprosiłem ojca, by pozwolił mi zająć się tą sprawą, ponieważ...

- ...ponieważ wiedziałeś, że nie zgodziłabym się na to spotkanie, gdybym wiedziała, że to będziesz ty! - przerwała mu stanowczo. - Wyjdź stąd natychmiast!

- Mamy interes do omówienia. Jestem tu w oficjalnym charakterze. Co powiedzą twoi szefowie, jeśli dowiedzą się, że mnie wyrzuciłaś?

- Mogą iść do diabła! - wybuchnęła ze złością.

- Zapominasz o swojej błyskotliwej karierze.

Jane spojrzała na niego z niechęcią. Ubrany był w garnitur, białą koszulę i stonowany krawat. Wyglądał jak typowy makler... A jednak jakiś błysk w jego oczach sprawił, że poczuła dreszcz na całym ciele.

- W takim razie, panie Dane - opanowała się wreszcie - przejdźmy do interesów. Filiżankę kawy?

- Jane, proszę, nie mów do mnie tym tonem. Pozwól, żebym wszystko ci wyjaśnił...

- Jak można wyjaśnić kłamstwo i zdradę narzeczonej!

- Connie nie jest moją narzeczoną - powiedział spokojnie. - Nie miała prawa utwierdzać cię w tym przekonaniu. Widzisz, nasze rodziny przyjaźnią się od lat i rodzice pragnęli, byśmy się pobrali. Choć nigdy nie byłem zakochany w Connie, w chwili słabości poddałem się ich woli. Matka była poważnie chora, miałem nadzieję, że ta nowina ją ucieszy. Wtedy kupiłem Connie pierścionek; jak widziałas, wybrała najdroższy, jaki był w sklepie. Ona lubi wszystko duże i okazałe... Całe szczęście, że się nie pobraliśmy. Nie bylibyśmy szczęśliwi. Kiedy mama wyzdrowiała i zrozumiała moje uczucia, sama poradziła, bym zrezygnował z tego małżeństwa. Connie wykazała całkowite zrozumienie. Byłem jej za to wdzięczny. Oczywiście, pozwoliłem zatrzymać pierścionek. To wszystko działo się rok temu. Nie sądzę, bym złamał jej serce, ponieważ od tamtej pory była już zaręczona z kimś innym. Gdy to się skończyło, znów zaczęła nosić pierścionek ode mnie i robić różne aluzje. Ona mnie nie kocha, tak samo jak ja nie Kocham jej. Doszła zapewne do wniosku, że na bezrybiu i rak ryba.

- A co z Perrym?

- Och, Perry.... - westchnął ciężko. - Bardzo chciała go mieć.

Ostrzegałem, że z małego szczeniaka wyrasta duży pies, o którego trzeba dbać, ale nie słuchała. W końcu, tak jak podejrzewałem, znudziła się nim. Chciała się go pozbyć, więc zabrałem go ze sobą...

- A co z resztą? - spytała Jane, bacznie mu się przyglądając. - Podobno skłoniła cię, byś się sprawdził we własnym biznesie i przez cały czas do ciebie telefonowała, jak przystało wiernej wybrance twego serca.

- Pochodzę z podobnego środowiska jak ty, Jane - powiedział. - Wszyscy moi krewni są bankierami, prawnikami albo maklerami. Dorastałem ze świadomością, że czeka na mnie miejsce w rodzinnej firmie. Miałem tylko zdawać egzaminy. To było zbyt łatwe... Rzeczywiście, kilka miesięcy temu Connie powiedziała, że prawdziwy mężczyzna powinien sam czegoś dokonać. Wiedziałem, że usiłuje wzbudzić we mnie zazdrość, ponieważ zaczęła się właśnie spotykać z mężczyzną, który wszystko zawdzięczał sobie. Podjąłem wówczas decyzję... Ale wcale nie robiłem tego dla niej! - Popatrzył na Jane w nadziei na jakiś znak świadczący o zrozumieniu, ale wyraz jej twarzy był nadal surowy. - Wziąłem długi urlop i przybrałem nazwisko Wakeham, żeby odciąć się od środowiska. Potem kupiłem starą przyczepę i zacząłem robić przedstawienia... Jedynym ustępstwem wobec mojej przeszłości było poproszenie Gilberta Dane'a o pożyczkę. - Na twarzy Gila pojawił się słaby uśmiech. - Oczywiście, Gilbert Dane nie miał zaufania do swego nowego wcielenia, ale Gil go przekonał. Dane udzielił mu pożyczki, lecz na bardzo wysoki procent, bez żadnych ulg. Kiedyś Gil nie mógł spłacić raty w terminie i doszło między obu panami do poważnej rozmowy. Gil poczynił wówczas kilka szczerych uwag na temat charakteru Dane'a i czuł, że następnym razem nie powinien zwracać się do niego o pożyczkę. - Gil skrzywił się lekko, widząc, że jego poczucie humoru tym razem nie rozbroiło Jane. - Jane, kochanie, kocham cię! - powiedział szczerze. - Nigdy nie chciałem cię oszukać! Chciałem powiedzieć ci prawdę, ale kiedy zrozumiałem, że ty również mnie pokochałaś... to znaczy pokochałaś Gila Wakehama... wtedy było już za późno. Obawiałem się, że cię stracę... A jeśli chodzi o Connie... Między nami od

dawna nic nie ma. Tamtego wieczoru po przyjęciu powiedziałem jej wprost, żeby nie liczyła na nasze małżeństwo, ponieważ kocham ciebie...

- Och, Gil, dlaczego ty nic nie rozumiesz! - zawołała poruszona. - Tu nie chodzi tylko o Connie. Nie rozumiesz, że mnie oszukałeś?

- Ale przecież wyjaśniłem ci, że z Connie...

- Nie chodzi o Connie! - powtórzyła. - Mam na myśli twoje opowieści o drodze w nieznaną, o niepewności jutra. Udawałeś lekkoducha, którego prócz gwiazdzistego nieba nic więcej nie interesuje, który nie przywiązuje wagi do spraw materialnych... To wszystko było kłamstwem, ponieważ w rzeczywistości jesteś bogatym człowiekiem, który może mieć wszystko, co tylko chce! Zawsze mogłeś powrócić do swego luksusowego apartamentu! Ty... ty maklerze! - Ostatnie słowo zabrzmiało w jej ustach jak najgorsze przekleństwo.

- Jeszcze kilka tygodni temu makler był w twoich oczach człowiekiem godnym podziwu - powiedział głuchym głosem.

- Ale zmieniłam się! - krzyknęła. - To ty nauczyłeś mnie czegoś innego. Ale dla ciebie była to tylko gra... Gdy cię zmęczyła, wróciłeś do swego prawdziwego życia, nieprawdaż, panie Dane?

- Wolałbym, żebyś tak mnie nie nazywała. - Skrzywił się lekko. - Jestem Gil Wakeham.

- Gil Wakeham nie istnieje - mówiła z pasją. - To tylko aktorska rola, udawanie... A ja nie chcę być częścią twojej gry. - Z wysiłkiem wciągnęła powietrze. - To już koniec - powiedziała.

- Co to znaczy koniec? - Patrzył na nią przerażonym wzrokiem.

- Żarty się skończyły. Pożyczyłam ci pieniądze, ponieważ myślałam, że są ci naprawdę potrzebne...

- Ależ były!

- Bzdura! Wracaj w skórę Gilberta Dane'a!
- Nie mogę. On nie chce mieć ze mną nic wspólnego.
- Przestań mówić jak schizofrenik.
- Ale to naprawdę są dwie różne osoby - tłumaczył z uporem. -

Przyjrzałem się Dane'owi dokładnie i naprawdę przestał mi się podobać. Był tylko maszynką do robienia pieniędzy... Nigdy nie miał czasu dla innych ludzi, ponieważ nie potrafił oderwać się od liczb. Czuję, że istnieje druga strona mojej osobowości, ale nigdy nie dałem jej szansy na rozwój. To właśnie jest Gil Wakeham. On mną zawładnął i dopiero w jego skórze czuję się naturalnie... Chcę nim pozostać. Ty również pokochałaś Gila Wakehama, a ja pragnę być nadal tym mężczyzną, którego kochasz! Potrzebuję jednak twojej pomocy... Błagam cię, Jane, nie obsadzaj mnie z powrotem w roli Gilberta Dane'a!

- Słowa, słowa, słowa... - Zatkęła uszy i odwróciła głowę. - Jesteś mocny w mówieniu. Powinieneś wcześniej wyjawić mi prawdę.

- Bałem się, że wszystko zepsuję... A przecież było tak cudownie.
- Teraz jest za późno...
- Nie może być za późno - powiedział z uporem. - Pomóż mi, Jane.

Muszę dostać te zamówienia od Joego Stebbinsa!

- Szczerze ci tego życzę - rzekła obojętnie.
- Jane, nie dam sobie rady bez twojej pomocy - zaczął znów prosić. -

Opracowaliśmy wielkie pokazy, które wymagają pracy dwóch osób.

- Weź do pomocy Tommy'ego. Będzie zachwycony.

- Tommy pływa teraz po kanale na kursie żeglarskim. Nawet nie mogę się z nim skontaktować. A poza tym... chcę ciebie! Razem pracowaliśmy nad tym programem. Proszę cię, Jane... To tak wiele dla mnie znaczy... W przyszłym tygodniu robię następny pokaz w Wellhampton, na który zaprosiłem

Stebbinsa. Mam nadzieję, że da mi zaliczkę i będę mógł cię spłacić, nie korzystając z pomocy Dane'a.

- Zgoda - powiedziała. - Daję ci jeszcze dwa tygodnie.

- I pomożesz mi przy pokazie?

- Co to, to nie! Już nie zamierzam odpalać fajerwerków.

- Przynajmniej przyjdź i popatrz. Będzie tam niespodzianka przeznaczona specjalnie dla ciebie.

- Czy nie rozumiesz, że wszystko się skończyło? - odparła podniesionym głosem. - Nie dam się po raz drugi wyprowadzić w pole!

Przez chwilę patrzył na nią spokojnie; w wyrazie jego smutnych oczu było coś chwytającego za serce. Ale Jane nie chciała ulec. Zebrała się w sobie i powiedziała oficjalnym tonem:

- Przejdźmy zatem do interesów.

- Dobrze - zgodził się, jakby wyrwany ze snu. - Przywiozłem papiery, które powinnaś przejrzeć...

Dwie godziny później, gdy spotkanie zbliżało się do końca, spojrzał na nią zatroskanym wzrokiem i odezwał się cicho:

- Wyglądasz, jakbyś była chora. Och, przebacz mi, kochana... Nie miałem zamiaru...

- Czuję się świetnie - przerwała mu impulsywnie. - Za kilka dni zadzwonię do twojej firmy w sprawie tych propozycji.

- Dziękuję, panno Landers. Powiem ojcu, że słusznie postąpił, decydując się na współpracę z Bankiem Kellsa. Twoi zwierzchnicy również zostaną o tym powiadomieni.

- Nie stosuj wobec mnie szczególnej taryfy!

- Wcale tego nie robię. Jesteś doskonałym menedżerem. Wysoko zajdziesz.

Gdy wyszedł, Jane już nie musiała dłużej walczyć ze łzami.

Trzy dni później, gdy Jane otworzyła drzwi do mieszkania, usłyszała ożywioną rozmowę.

- Tony! - ucieszyła się na widok ulubionego starszego brata, Tony miał dwadzieścia osiem lat, dziecianną buzię i roześmiane oczy...

Nagle Jane zdała sobie sprawę, że odkąd Tony zaczął pracować w banku i zrezygnował ze sceny, jego oczy nie śmiały się już tak często...

Gdy wymienili radosne słowa powitania, a Sara postawiła na stole herbatę, Jane zapytała:

- Co słyhać u Delii? - Delia była córką szefa banku, w którym pracował Tony i rodzina niecierpliwie czekała na wiadomość o zaręczynach.

- Cóż, właśnie mieliśmy się zaręczyć, gdy zadzwonił Jim, mój były agent... Doszedł do wniosku, że ma rolę idealną dla mnie, zdecydował się więc zadzwonić, mimo że ostatnio właściwie się nie kontaktujemy...

- Jaką rolę? - zaciekawiła się Jane.

- W telewizyjnym serialu kryminalnym grałbym kumpla głównego bohatera. Wziąłem już udział w próbnym zdjęciach i, jeśli zechcę, rola jest moja... Ale to oznacza rezygnację z pracy w banku...

- To twoja wielka szansa! - powiedziała Jane.

- Jim uważa, że dzięki temu serialowi stanę się znany. Mógłbym potem dostawać role charakterystyczne, chociaż nigdy nie ma się pewności. Ale do banku pewnie nie miałbym już powrotu...

- Co na to Delia?

Tony westchnął ciężko.

- Powiedziała tylko, że ojciec będzie bardzo rozczarowany moim brakiem rozwagi. Sam nie wiem, co mam robić...

- Ależ doskonale wiesz, mój drogi! - wtrąciła Sara z ożywieniem. - Bierz tę rolę, a ojcu Delii każ iść do diabła. Zresztą jej powiedz to samo, jeśli nie stanie po twojej stronie.

Tony z otwartymi ustami przyglądał się babce.

- Czy to naprawdę ty mówisz, babciu? - spytał zdumiony.

- Sara się zmieniła - powiedziała Jane. - Nic nie słyszałeś?

- Ojciec powiedział...

- Powiedział, że staruszce odbiło - uzupełniła ze spokojem Sara. - Jakbym go słyszała! Zawsze był nadęty. Ale ty na szczęście w niczym go nie przypominasz. Jesteś podobny do mnie. Też chciałam iść na scenę... - Urwała nagle i gwałtownie wciągnęła powietrze.

Jane delikatnie położyła rękę na jej dłoni. Wiedziała, że Sara wspomina w tej chwili mężczyznę, którego niegdyś kochała.

- Dobrze ci radzę, Tony - ciągnęła Sara w zadumie. - Nie marnuj życia na rozmyślaniu, co mogłoby się zdarzyć... - Popatrzyła na Jane, jakby do niej adresowała słowa. - Idź za głosem serca. I nie słuchaj nikogo, kto z tej drogi chciałby cię zawrócić.

- Masz rację! - zawołał rozgorączkowany Tony. - Zrobię to! - I od razu popędził do telefonu.

Jane obserwowała go z pobłażliwym uśmiechem na ustach, zaś na twarzy Sary widać było szczerą satysfakcję. Pomogła wnukowi uniknąć swego własnego losu...

- Jim mówi, że powinienem szybko przyjechać! - zawołał Tony, odkładając słuchawkę. - Och, dziękuję! Nigdy nie zapomnę, że wszystko wam zawdzięczam. - Pocałował obie kobiety i ulotnił się, nim zdążyły cokolwiek powiedzieć.

- Wychodziłaś dzisiaj? - spytała Jane, przygotowując kolację.

Zauważyła, że Sara od pewnego czasu coraz częściej przebywa w domu.

- Owszem, wychodziłam - odparła nieoczekiwanie Sara. - Zjadłam lunch z uroczym, młodym człowiekiem. Odbyliśmy niezwykle interesującą rozmowę.

Jane przez dłuższą chwilę patrzyła na babkę z wyrzutem.

- Z Gilem, przypuszczam? - powiedziała gniewnie. - Jak mogłaś, Saro!

- Nie ukrywam, że go lubię. I uważam, moja droga, że byłaś dla niego zbyt surowa. Może powinien wcześniej powiedzieć ci prawdę, ale postaraj się go zrozumieć... Naprawdę to było dla niego trudne. Uważam, że Gil jest jednym z najbardziej uczciwych i odważnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam. Trzeba niebywalej odwagi, żeby spojrzeć sobie krytycznie w oczy, stwierdzić, że się siebie nie lubi i próbować się zmienić. Czy z tobą, kochanie, nie było tak samo? Czyżbyś nie zmieniła się, gdy go poznałaś, nie odkryła w sobie nowej, nieznannej kobiety? Czyżbyś nie była z tego powodu szczęśliwa? Dlaczego chcesz to wszystko przekreślić?

- Nic nie mogę na to poradzić - odpowiedziała Jane łamiącym się głosem. Jest we mnie jakiś przewrotny upór, który nie pozwala mi ustąpić. Proszę cię, Saro, nic już nie mów.

- Kochanie, nie chciałam cię zranić. Chciałabym, abyś była szczęśliwa. No, nie płacz już. Nie płacz, maleńka...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jeszcze cztery dni do pokazu Gila, trzy, dwa, jeden...

Jane starała się ignorować mijający czas, ale przychodziło jej to z trudem. Pracowała z wysiłkiem, z wysiłkiem zasypiała, walczyła ze łzami. Tak jak powiedziała Sarze, był w niej jednak upór, który nie pozwalał się poddać. Dała się zwieść pozorom, wciągnąć do czyjejś gry - ale teraz kurtyna opadła.

Jedyną miłą wiadomością był telefon od Tony'ego.

- Podpisałem kontrakt! - pochwalił się z dumą. - A Delia zachowała się cudownie. Pobieramy się natychmiast, żeby jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć wyjechać w krótką podróż poślubną.

Sara natomiast wyglądała na zmęczoną. Nie wychodziła już tak często, a na jej twarzy czasami malował się smutek. Gdy zbliżał się wieczór, zaczęła nerwowo spoglądać na zegar.

- Wiesz, jaki dziś mamy dzień? - spytała wreszcie.

- Wiem - odparła Jane. - Nie zapomniałam.

- Czy nie powinnaś tam pójść? - westchnęła Sara.

- W żadnym wypadku!

- On potrzebuje twojej pomocy, żeby dobrze wypaść. Wiesz, jak bardzo zależy mu na tym kontrakcie...

- Saro, zapominasz, że on jest maklerem! Mówisz tak, jakby pokazy fajerwerków miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

- Oczywiście, że mają! - zaperzyła się Sara. - Gil usiłuje sprawdzić się jako człowiek i potrzebuje twojej pomocy. Niczyjej innej, tylko twojej! Powinnaś uznać to za komplement. Zrzucił maskę i pokazał ci swoje prawdziwe oblicze. Dlaczego nie chcesz tego docenić? A ty sama? Czy nie

zmieniłaś się także? Naprawdę chcesz być tylko panną Landers, statecznym dyrektorem banku i nikim więcej?

Wybiła godzina dziewiąta... - i minęła. Jane wyobrażała sobie, że Gil dokonuje teraz ostatnich poprawek, dwukrotnie sprawdza wszystkie przyrządy; ma treść - jak każdy prawdziwy artysta przed spektaklem, ale za chwilę odegra swoją rolę z zawodowym uśmiechem na ustach.

Och, dlaczego jej myśli nieustannie krążyły wokół Gila! Jakże była słaba... Uporczywie wracały do niej słowa Sary: „Panna Landers, stateczny dyrektor...”

Sara położyła się wcześniej, pozostawiając Jane ślęczącą nad raportem. Właśnie robiła herbatę, gdy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

- Andrew! - wyjąkała zdziwiona. - Co się stało...?

Stary mężczyzna patrzył na nią sponad największego bukietu róż, jaki kiedykolwiek w życiu widziała. Twarz jego miała wielce zakłopotany wyraz.

- Wejdz, proszę - zaprosiła dziadka do mieszkania. - Sara poszła dziś wcześniej do łóżka, ale zaraz ją obudzę...

- Nie, nie rób tego! Właściwie nie jestem jeszcze gotowy... Dłuższy czas stałem za drzwiami, nim zdecydowałem się zapukać... Możemy chwilę porozmawiać?

Jane posadziła go na kanapie, a obok ostrożnie umieściła kwiaty. Świadczyły one bardziej wymownie niż słowa o celu jego wizyty.

- Jakże ona się miewa? - spytał po chwili, a w jego oczach pojawił się lekki niepokój.

- Daje sobie jakoś radę - odparła Jane. - Ale ostatnio jakby trochę gorzej...

- Gdy rozmawialiśmy przez telefon, ciągle powtarzała, że wreszcie może robić to, na co zawsze miała ochotę.

- Myślę, że już jej się znudziło - wtrąciła Jane. - Ale nie powiedz jej, że o tym wspomniałam... A co słyszeć u ciebie? Rozrywałeś się ostatnio z jakimiś młodymi kobietami?

- Młode kobiety! - prychnął z pogardą. - Co one wiedzą o życiu? Mam już ich dość. - Roześmiał się z zakłopotaniem.

- Tęsknię za nią, Jane... Bardzo mi jej brak.

- Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

- Przecież mnie nie chciała... - Andrew znów westchnął.

- Zawsze tak było... Nigdy nie chciała mnie naprawdę. Zawsze był ktoś inny. Ten aktor, którego kochała...

- Myślałam, że o nim nie wiesz - zdumiała się Jane.

- Jakże mogłem nie wiedzieć! Pewnego dnia, gdy się o nią starałem, przyszedłem do domu jej rodziców; Sary nie zastałem. Dopiero po pewnym czasie wróciła. Widziałem, jak wchodziła z nim przez furtkę. Owszem, był przystojny, pewny siebie... całkiem inny niż ja. Doszli do frontowych drzwi, ale nie weszli do środka... Nastąpiła niespodziewana zwłoka. Wiedziałem, że się całują... Od tamtej pory miałem złamane serce. Tak bardzo ją kochałem. Była uroczym stworzeniem... z tymi dużymi niewinnymi oczami...

Wskoczyłbym za nią w ogień. Wiem, że wyszła za mnie, ponieważ nie mogła mieć tamtego... Miałem nadzieję, szaloną nadzieję, że kiedyś mnie pokocha, ale pewnego dnia... - Urwał, jakby wspomnienia były dlań zbyt bolesne.

- Pewnego dnia...? - podchwyciła Jane, kątem oka zauważając, że drzwi do pokoju Sary uchyliły się lekko.

- To było w dniu jej urodzin - wspominał Andrew. - Pod koniec uroczystego przyjęcia chciałem ofiarować jej największy bukiet róż, jaki kiedykolwiek widziała. Wieczór był cudowny... Myślałem, że wszystko jeszcze będzie dobrze. I nagle ktoś przypadkiem wypowiedział jego imię.

Twarz Sary... och, miała taki wyraz, że zrozumiałem w jednej chwili, że nadal go kocha. Wyszedłem, a róże wyrzuciłem do śmietnika...

- I nigdy, przez te wszystkie lata, nie dałeś jej róż? - spytała cicho Jane współczującym głosem.

- Nie było sensu. Wiedziałem, że zawsze będę tym drugim w jej życiu.

Z tyłu dobiegł ich jakiś dźwięk - na wpół westchnienie, na wpół łkanie. Gdy Andrew odwrócił głowę, zobaczył Sarę zatopioną we łzach. W milczeniu otworzyła ramiona.

- Kochany Andrew, wcale nie jesteś tym drugim - powiedziała głosem tłumionym przez łzy.

- Żyłem nadzieją, że kiedyś mi to powiesz...

- Wiele lat temu podjęłam słuszną decyzję. Teraz to wiem, kochany... Twoje róże więcej dla mnie znaczą niż kwiaty całego świata. - Spojrzała przelotnie na Jane. - Potrzebujesz mężczyzny, który da ci poczucie wolności i bezpieczeństwa. Mogłaś go mieć, ale go odrzuciłaś. Pospiesz się, nim będzie za późno...

Jane cicho wycofała się z pokoju; nie była tutaj potrzebna. Nagle sparaliżowało ją przerażenie. Czyżby Sara miała rację? Opadła jej z oczu świetlista zasłona, a poza nią zobaczyła czarną otchłań - wieczną pustkę, jaką będzie jej życie bez Gila... Błagał ją, by go zrozumiała i pomogła mu urzeczywistnić marzenie. A ona go odtrąciła! W panice spojrzała na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Nie zostało wiele czasu...

Gdy parkowała samochód, usłyszała podawaną przez głośniki wiadomość, że pokaz fajerwerków rozpocznie się lada chwila. Gęsty tłum kierował się w tamtą stronę. Jane, roztrącając ludzi, zaczęła biec.

Wpadła prosto na Joego Stebbinsa.

- Myślałem, że już nie przyjdiesz - powiedział. - Szkoda, że nie było cię wcześniej. Gil okropnie się namęczył, ustawiając te rusztowania.

- Gdzie on jest? - spytała bez tchu.

- Tam! Robi ostatnie poprawki.

Jane powiodła wzrokiem we wskazanym kierunku i zobaczyła Gila, wchodzącego na rusztowanie.

- Gil! - krzyknęła. - Gil... Kocham cię!

Gdy się odwrócił, jego twarz jaśniała radością. Instynktownie wyciągnął ku niej ramię i wtedy... stało się. Stracił równowagę, druga ręka nie znalazła bezpiecznego oparcia i zaczął spadać do tyłu, rozpaczliwie wymachując ramionami. Jane krzyknęła, gdy z głuchym dźwiękiem uderzył o ziemię.

Rzuciła się ku niemu, z sercem rozdartym rozpaczą. Twarz miał wykrzywioną z bólu, oddychał z trudem.

- Kochanie... - szepnęła. - Tak mi przykro. Powinnam przyjechać wcześniej...

- Nic nie mów. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Teraz już jesteś. Pocałuj mnie...

Uklękła i delikatnie objęła go ramionami.

- To był paskudny upadek - powiedział Joe Stebbins, pochylając się nad nimi. - Chyba coś złamałeś...

- Mam wrażenie, że obojczyk - wyjąkał Gil.

- Sprowadzę pomoc - powiedział Joe. - Tam, przy ogrodzeniu, widziałem punkt opatrunkowy.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie Gil. - Nie przed pokazem!

- W takim stanie nie odpalisz ani jednej rakiety - perswadował Joe.

- Czy bez zobaczenia pokazu podpiszesz ze mną kontrakt? - spytał Gil.

- No, nie... Muszę zobaczyć coś większego niż ostatnio. Ale może w przyszłym roku...

- W przyszłym roku będzie za późno - odparł gorączkowo Gil. - Teraz albo nigdy.

Nagle Jane doznała olśnienia podobnego do wybuchu racy. Duma i marzenia Gila zostały zagrożone - i tylko jej miłość mogła je uratować!

- Zrobimy to razem! - rzuciła z zapalem. - Gil mi wszystko objaśni, a ja odpalę!

Gil uniósł ku niej rozpromienioną twarz.

- Pomóż mi wstać - poprosił.

Pokazał jej zestaw przycisków.

- Ten pierwszy detonuje rakiety, które rozpryskują się na niebie w tysiące gwiazd, następny ogień bengalskie, wywołujące efekty akustyczne...

Jane skupiła uwagę, usiłując wszystko dobrze zapamiętać. Przychodziło jej to z łatwością; tygodnie przepracowane z Gilem nie poszły na marne.

Gdy już wszystko wyjaśnił, z ulgą opadł na krzesło, które podsunął mu Joe Stebbins.

- Pocałuj mnie na szczęście - poprosiła, słysząc podniecający szmer gęstniejącego tłumu.

Pocałowali się i pora była zaczynać. Gil puścił muzykę, Jane zaś odpaliła pierwszą rakietę. Nad głowami widzów pojawiły się kolory.

Jane czuła się niesamowicie, jakby dyrygowała ogromną orkiestrą reagującą na każdy jej gest. Gil pomagał jej, oświetlając potężną latarką kolejne przyciski. Czasem rejestrowała jego spojrzenie; uśmiechał się, dodając jej odwagi, a Jane wiedziała, że myśli to samo co ona. Dokonali tego razem, stanowili zgraną parę - na zawsze!

Nadszedł finał.

- Który przycisk? - krzyknęła rozgorączkowana. - Poświeć latarką!
Nieoczekiwanie Gil, krzywiąc twarz z bólu, podniósł się z krzesła.
- Muszę zrobić to sam - powiedział drżącym głosem. Twarz jego
ożywiała silna determinacja... silniejsza niż ból. - Chcę, żebyś zobaczyła to z
przodu.

Jane zdusiła w sobie instynktowny protest. Wycofała się i obserwowała z
niepokojem, jak zbliżał się do sterujących przycisków.

Po chwili niebo zapłonęło purpurowym ogniem. Stopniowo płomień
uformował się w płatek, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden - aż utworzyły
wyrazisty, doskonale piękny kwiat.

To była czerwona róża - róża, którą jej kiedyś obiecał... Gdy tłum witał
wspaniałą obraz burzliwą owacją, Jane z sercem przepełnionym radością
podbiegła do Gila.

Na jego czole perlily się kropelki potu, ale oczy świeciły triumfem.

- Obiecałem ci - powiedział podniecony. - To właśnie niespodzianka,
którą chciałem ci pokazać. Oznacza ona...

- Wiem, co oznacza - przerwała uszczęśliwiona. - Och, Gil, tak cię
kocham!

- Musi pan już jechać. - Sanitariusz wskazał na czekający ambulans.

- Za chwilę - odparł Gil. - Gdzie jest Joe?

Joe Stebbins pojawił się jak spod ziemi.

- Cudowne! Wspaniałe! - entuzjasmował się. - Gdy tylko wyzdrowiejesz,
porozmawiamy o kontrakcie.

Drzwi karetki zatrzasnęły się, zamykając Jane i Gila w środku. Od razu
jego usta przywarły do jej warg.

- Tak się bałem, że nie przyjdiesz - szepnął. - Jeszcze raz przepraszam za wszystko, co zrobiłem... Naprawdę nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób.

- Nie przepraszaj! - przerwała mu namiętnie. - Powinam była zrozumieć. To, co nam się przydarzyło, jest wyjątkowe, a ja omal wszystkiego nie zmarnowałam...

- Nie pozwoliłbym ci na to - powiedział stanowczo. - Ścigałbym cię do końca swoich dni!

- Myślisz, że gdybym nie przyjechała dziś wieczór, nadal byłoby tak samo?

- Nie byłoby tak samo. - Potrząsnął głową. - Ale i tak kochałbym cię, ponieważ zawsze będę cię kochał. Ale ty przyjechałaś. To było przeznaczenie. W miłości takiej jak nasza nie mogło stać się inaczej. A teraz nigdy już nie pozwolę ci odejść.

- I znów ruszymy w trasę? - spytała.

- Nie, muszę wracać do firmy. Teraz już mogę to zrobić. „Magiczne Fajerwerki Wakehama” odniosły sukces, który zawsze będę nosił w sercu. A cię czeka dalsza kariera w banku...

- Czy to znaczy, że fajerwerki się skończyły? - zawołała rozczarowana. - Chyba nie mówisz tego poważnie?

- Gdy Tommy wróci z rejsu, przeszkolę go i zajmie moje miejsce. Będzie organizował pokazy, które sam zaplanuję, a ty zajmiesz się stroną finansową. A czasami, podczas weekendów i wakacji, wrócimy sami na trasę, zgoda?

- A nasza podróż poślubna?

- Marzą ci się ciepłe kraje?

Potrząsnęła głową.

- Tylko ty, ja i Perry - powiedziała. - To moja wymarzona podróż poślubna.

- Moja też - przyznał skwapliwie.

Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w usta. Gdzieś w głębi jej świadomości rozbłysło światło. Nie była to raca ani żaden olśniewający lecz krótkotrwały fajerwerk - tylko jasny płomień, który już zawsze będzie płonąć.



RS